

Marcin Adamczyk

MASZTY NOCĄ NIE MUSKAJĄ GWIAZD

NAVIGARE NECESSE EST,

VIVERE NON EST NECESSE *Zachodni Bałtyk, 54° 35' 20" N, 120° 37' 10" E piątek 14 października 2016 roku 09h 25m GMT* Woda zalewała pokład. Wzburzone bałwany przewalały się od fordeku, poprzez półpokłady, by skąpać w słonym prysznicu dwie siedzące za sterem postacie w kolorowych sztormiakach. Wyczerpawszy swoją energię, hektolitry spienionej cieczy spływały z powrotem do morza. Pełni szczęścia dopełniały wściekle wstrząsy, gdy dziób jachtu zarywał się w większą od innych falę. To wszystko, w połączeniu z potężnym rozkołyssem, tworzyło piorunującą mieszankę, wywołującą u nieuodpornionych chorobę morską o niezwykle gwałtownym przebiegu.

W tej właśnie chwili z zejściówki wyskoczyła wymizerowana postać. Człowiek ten nie miał na sobie sztormiaka, natychmiast więc został doszczętnie przemoczony. Nie zważając na to, rzucił się ku zawietrznej. Niestety, nie zdołał utrzymać równowagi.

Poleciał prosto na reling. Linki wytrzymały co prawda uderzenie, ale kolejny wstrząs przerzucił bezwładne ciało górą. Kuk, bo on to właśnie nie wytrzymał intensywnych zapachów w kambuzie, znalazł się poza jachtem.

- Człowiek za burtą!

Zmokli sternicy usiłovali co prawda zatrzymać przelatującego koło nich nieszczęśnika, ale nie poruszali się dostatecznie szybko. Teraz adrenalina runęła im do żył. Ze zduszonym krzykiem jeden z nich rozpaczliwie zakręcił kołem sterowym, usiłując ustawić oporną jednostkę pod wiatr. Drugi rzucił się ku miejscu,

gdzie przed sekundą zniknął pechowy żeglarz.

- Człowiek za burtą!

Zaalarmowani krzykiem, pozostali członkowie załogi wyskakiwali na pokład. Większość jeszcze się na dobre nie obudziła. Niesione w powietrzu lodowate bryzgi szybko trzeźwiły półprzytomnych.

- Człowiek za burtą!

Dziób „Stellar Gale” leniwie przeszedł linię wiatru.

Grot i fok zatrzepotały, następnie z głośnym kłaśnięciem przeleciały na prawy hals. Postać w żółtym sztormiaku kręciła teraz sterem w przeciwną stronę.

Wytraciwszy całą prędkość, jacht zatrzymał się.

Napięty na wstecznym biegu fok usiłował odepchnąć dziób od wiatru, czemu przeciwdziałała wychylona w tę samą stronę płetwa sterowa. Grot telepał się luźno na wietrze.

- Człowiek za burtą!

Mimo widocznych dla wprawnego oka braków w doświadczeniu, w miarę szybko zajmowali stanowiska manewrowe. Na szczęście nie okazało się to potrzebne.

- Żyje!

Przez ryk wichury przebił się okrzyk drugiego sternika, który pierwszy, wypłatawszy się po drodze z lin asekuracyjnych, dopadł relingu. Istotnie. W feralnym miejscu wisiał przywiązany do szpigatu krawat. Przerażony i chory niedoszły topielec trzymał się go tak kurczowo, jakby od tego zależało jego życie.

Co zresztą było prawdą.

W głębi kadłuba głucho zakaszłał uruchamiany silnik. Trzech żeglarzy wciągało uczeponego zbawczej linki nieszczęśnika. Wstrząsały nim gwałtowne torsje.

Przez wycie wichury przedarł się głos, znać, że nawykły do komenderowania.

- Zabierzcie go do środka. Kto nas postawił w dryf?

- Ja - padła odpowiedź od koła sterowego.

Dziewczyna, która odpowiedziała na zadane pytanie,

była wyraźnie przerażona rolą, jaką właśnie odegrała pod stalowo-sinym niebem zachodniego Bałtyku. Pierwszy raz znalazła się na morzu i to od razu w sztormie.

Słabym, bo słabym, ale zawsze. Świadomość, że jest właścicielką tej pięknej jednostki, nic jej nie pomagała.

Kuk zniknął już pod pokładem odprowadzony przez ludzi, którzy dopiero teraz zorientowali się, co właściwie im groziło. Przy obecnych bowiem warunkach, szansę na odnalezienie w rozkołysanej toni nieszczęśnika były bardzo marne. Piotr Sztubiński był zaś nie tylko jedynym ochotnikiem na zajmowane obecnie stanowisko, ale również prawdziwie utalentowanym. Bez oporów, a nawet z pewnym zadowoleniem, przyjął tę niewdzięczną w opinii większości funkcję. Może chciał pokazać swoje zdolności gastronomiczne w szerszym gronie? Gdyby zginął, poza normalnymi w takich przypadkach nieprzyjemnościami, czekałaby ich konieczność żywienia się produktami liofilizowanymi, których, przy wszystkich ich zaletach, nie można było porównać do znakomitej kuchni Piotrka.

Kapitan Nawrocki, obrzuciwszy wzrokiem szalejący żywioł, stwierdził tylko:

- Przy takiej pogodzie to była jedyna możliwość.

Gdyby nie złapał linki, każdy inny manewr oddalałby nas od niego. A gdybyśmy go zgubili...

Nie dokończył. Nie musiał. Dla wszystkich było jasne, że w tak lodowatej wodzie, średni czas przeżycia człowieka nie przekraczał kilkunastu minut. Dobitnie przekonali się o tym pasażerowie „Titanica” ponad sto lat temu.

- Wracamy na kurs i niech nikt mi nie wychodzi bez pasa powyżej czterech, a kuk w kambuzie niech go nosi cały czas. Profilaktycznie.

Wykorzystując pracujący właśnie silnik, Marek,

człowiek, który pierwszy odnalazł za burtą zgubę,
zrobił zwrot przez sztag. „Stellar Gale” ruszył,
nabierając prędkości.

W dwie godziny później wiatr osłabł z początkowej ósemki do przyjemnych pięciu. Morze wyglądało się.

Pracujący dotąd ciężko fok zmieniono na genuę.

Rozrefowano również grot. Wobec zmniejszenia fali,
prędkość jednostki nawet wzrosła. „Stellar Gale”
naprawdę okazywał się godny swojej nazwy. Nowiutki,
zbudowany zaledwie przed dwoma miesiącami, przy sprzyjających warunkach rozwijał
trzydzieści do czterdziestu węzłów. Prędkość, która dla starszych jachtów pozostawała wyłącznie
w sferze marzeń. Sekret tkwił w podpatrzonym u natury pokryciu kadłuba.

Delfiny potrafią bowiem doskonale wyczuwać najmniejsze zmiany ciśnienia otaczającej ich wody
i wygaszać występujące zaburzenia za pomocą wędrujących po skórze fałd. Na podstawie tego
zjawiska powstał Aktywny System Wygaszania Turbulencji, zwany potocznie „skórą delfina”. W
przeciwieństwie więc do dawnych typów, nie pozostawał również za „Stellar Gale” spieniony
kilwater. Idealny przepływ laminarny! Zerowe turbulencje! Szkoda tylko, że na rufie tej wspaniałej
jednostki, zamiast rodzimej biało-czerwonej,

powiewała dumnie, przyjeta w celach biurokratycznopodatkowych,
czerwono-zielona bandera Białorusi.

Zaiste, cztery osoby usadowione obecnie w kokpicie,
pod oszalałającą piramidą stu dwudziestu metrów kwadratowych żagli, mogły mieć wrażenie,
że dosiadły legendarnego „Czholima”. Dwa wiatraki obracały się z wizgiem. Włączony obecnie,
sprzężony z radarem,

komputerem i sonarem auto-pilot pewnie trzymał kurs.

Potęga i moc!

- Wnioskuje więc, że przeprowadzanie próbnego alarmu jest niecelowe.

Słowa te wypowiedział potężnie zbudowany mężczyzna po trzydziestce. To właśnie on
uruchomił silnik w czasie wypadku.

- Noo... - przeciągnął sylabę Borys Nawrocki,
rówieśnik rozmówcy - w gruncie rzeczy Piotrek za burtę NIE wypadł. Muszę jednak przyznać,
Tomaszu,

że mnie TEŻ się nie chce.

- Może i nie wypadł, ale alarm był.

- Marek, ty lepiej nie dawaj głosu. Dlaczego go nie złapałeś? Leciał tuż koło ciebie.

- Ogólne kurewskie zmlenie.

W porównaniu do kapitana Borysa, który lubił wyrażać się wytwornie, oraz starego kapitańskiego kumpla, Tomasza Fidyka, Marek Bistyp był dosyć prostacki. Stanowił żywe zaprzeczenie tezy, jakoby żeglarstwo stanowiło domenę ludzi kulturalnych.

Chętnie bowiem i gęsto używał w rozmowie słów powszechnie uważanych za wulgarne. Obecnie,

zobligowany do tego przed rejssem przez wytwornego kapitana Borysa, starał się powściągać język. Nie zawsze mu to wychodziło.

- Proponowałabym, żebyście, panowie, skończyli już z tym. W końcu nic się nikomu nie stało. Może mi wreszcie coś powiecie na temat sprawowania się mojej łódki.

Ela Kownacka zaliczała się do kategorii, którą zwykło się określać jako „panna nadziana”. Miała jednak na tyle rozumu, że wypływając po raz pierwszy w życiu w morze, zaprosiła na inauguracyjny rejs kilku znajomych, znających się na rzeczy.

Przynajmniej utrzymywali, że się znają.

- Konia z rzędem temu, kto rozgryzie wszystkie funkcje tej maszynierii. Na razie poznałem to może w pięciu procentach.

Tomasz miał na myśli UKJ, czyli Uniwersalny Komputer Jachtowy, zwany przez załogę „Kujonem”.

Konstruktorzy potrzebowali dużej mocy obliczeniowej do obsługi nowego typu pokrycia kadłuba, słynnej „skóry delfina”. Sięgnęli więc po najnowszy wrzask techniki - zintegrowane procesory diamentowe. A skoro już sięgnęli, to podłączyli do komputera wszystko, co się tylko dało. Problem był jednak w tym, że Fidyk nie wiedział do końca, co mianowicie się dało. Łatwiej poszłoby z tym zapewne Borysowi, który był z zawodu informatykiem, ale jako kapitan miał wystarczająco wiele spraw na głowie, by zajmować się szczegółami.

Dlatego też ze słowami: „Nawet, jak wszystko popsujesz, będzie to doskonała okazja do popływania ręcznego”, zlecił tę dziedzinę Fidykowi.

Równocześnie jednak, ten supernowoczesny jacht, gdzie nawet tradycyjne stalówki, wbrew swojej nazwie, były wykonane z kompozytów węglowych, nie posiadał tak wygodnego urządzenia, jak rolfok. Stanowił niewiarygodną mieszankę cech wybitnie konserwatywnych, jak i supernowoczesnych.

Stanowczo była to jednostka przeznaczona raczej do żeglugi niż do jachtingu. Jak mawiał Tomasz: „granicą między żeglugą, a jachtingiem są trzy stopnie w skali Beauforta”.

- Nawet jak nie włączamy kataryny, przy tym wietrze baterie ładują się w dzień. W nocy gorzej. Te zabawki na słońce nie pracują, za to włączona jest sektorówka i światła we wnętrzu. Do rana ubywa gdzieś jedna czwarta elektryki.

Marek miał na myśli amperogodziny.

- A co w wypadku flauty? Akumulatory nie wyczerpią się?

- Raczej nie. Jest spory zapas.

- Ośmielałam się zwrócić uwagę, że nie można liczyć na bezwietrzną pogodę w październiku. - Kapitan Borys wyświetlił na zewnętrznym monitorze satelitarną mapę pogody. - Idzie na nas kolejny niż. Przewidywana siła wiatru osiem do dziewięciu.

- O nie! - jęknęła Ela - przecież umrzemy z głodu.

Co człowiek zje, to od razu zwraca.

- Nie przesadzaj. Najgorsze jest pierwsze sto lat.

Potem można się przyzwyczać.

Ela milczała z miną która świadczyła o kompletnym załamaniu.

- Bierz przykład z kuka. Cały czas pracuje, chociaż ciągle ma zwroty. Aż szkoda, że robi tylko herbatę, a nie, jakby sugerował mój czasomierz, obiad -

podsumował Fidyk, gryząc sucharka. Była to najlepsza znana metoda na najbardziej dolegliwe objawy choroby lokomocyjnej.

Nawrocki oczywiście przesadzał, mówiąc o stu latach. W rzeczywistości większość potrzebowała nie stu, a trzech. I nie lat, a dni. On sam należał do tych nielicznych, rzadko spotykanych szczęśliwców, którzy wcale nie chorowali. Niestety, również pod tym względem, stanowił wyjątek wśród ośmiu osób na pokładzie. Wszyscy pozostali byli, jak to się malowniczo określało, zmuleni. Także do zbawczego terminu brakowało nieco czasu. Zanosilo się na to, że prędzej przybędą" do Kopenhagi, niż zaadaptują swoje organizmy do warunków sztormowych.

- Jeszcze jedna sprawa. - Nawrocki trzymał w ręku kawałek pomarańczowej linki metrowej długości i centymetrowej średnicy. - Czy ktoś mi może powiedzieć, co to jest?

- Wygląda jak krawat, ma odpowiednią długość i przekrój, zaryzykuję więc twierdzenie, iż jest to krawat.

- Marek najwyraźniej próbował powiedzieć coś śmiesznego.

- Bez wyglupów, proszę. Spytaam inaczej. Skąd się wziął tu, na śródokręciu, gdzie złapał go Piotrek?

Rozmówcy zamilkli uderzeni jedną myślą. Istotnie!

Te krawaty, które znajdowały się na „Stellar Gale”,

powiewały poprzywiązywane do relingu, ale wyłącznie blisko dziobu. Grot był bowiem rolowany do wnętrza masztu i jego powierzchnię regulowano za pomocą szkentli. Krawat, i to najwyraźniej jeden z dziobowych,

nie miał tu racji bytu.

- Może ktoś zmulony go tu zostawił? - nieśmiało wyraziła swoje przypuszczenie Ela.

- Wykluczone. Akurat dziesięć minut przed wypadkiem oglądałem burty w celu inspekcji pracy naszego wspaniałego poszycia. Jestem absolutnie pewien, że nie było wówczas żadnych zwisających linek. Co się więc stało?

- To cud! Wyraźnie widać tu rękę Boga! Macie teraz wasz dowód, ateści!

Hubert Chylewski był biblistą totalnym. Wierzył absolutnie we wszystko, co w ciągu tysiąca lat w świętej księdze chrześcijan zapisano. Wybory moralne oceniał jednoznacznie. Biel olśniewająca i czerń smolista. Inne kolory dla niego nie istniały. Resztę załogi składającej się zarówno z katolików bardzo letnich, jak i zadeklarowanych ateistów w rodzaju Fidyka, powoli, w ciągu pięciu minionych dni, to nużyło. Teraz zmuszony do wyjścia na pokład i po zrobieniu tego, co miał do zrobienia, Hubert przyłączył się do dyskusji.

- Błóżnisz, Hubercie - ze śmiertelną powagą stwierdził Marek. - Drugie: Nie będziesz wymawiał imienia nadaremnie.

- To jak inaczej to wytłumaczyć?! - Nieco zgaszony argumentacją, której się nie spodziewał, odparował Hubert.

- Nie wiem. Ale mogę zagwarantować, że istnieje naturalne wyjaśnienie.

Tomasz był o tym rzeczywiście głęboko przekonany.

Po lewej burcie, w strugach rozpetanej właśnie ulewy, zamajaczyły białe klify wyspy Mon. Przy dobrym wietrze mogli znaleźć się w duńskiej stolicy w trzy godziny. Niemniej, nigdy nie mieli tam trafić.

W godzinę później, gdy za sterem zasiadła Anna Grześ, jedna z siostr bliźniaczek, stało się coś, co wszyscy obecni mieli pamiętać do końca życia.

Początek zjawiska, oprócz Anny i jej identycznej siostry, Renaty, widział tylko Fidyk, który nie wytrzymał zawieszonych aromatów przygotowywanego w końcu gorącego posiłku. Nawet sucharki niewiele pomagały. Morze, dotąd jednolicie sinozielone, nagle rozjaśniło się purpurową poświatą.

Równocześnie wiatr, wiejący dotąd stale sześć stopni w skali Beauforta, ścichł prawie momentalnie. Bałtyk zmienił swoje wzburzone oblicze na gładką niczym morze rtęci taflę. Upiorny blask i nagła przerwa w monotonnym dotąd kiwaniu, zwabiły na pokład pozostałych żeglarzy. Wypadki następowały po sobie tak błyskawicznie, że ci, którzy byli ich świadkami, mieli potem duże trudności w ich odtworzeniu.

Usłyszeli wibrujący dźwięk, podobny do gwizdka piłkarskiego, niezbyt głośny, ale niesamowicie przenikliwy. Równocześnie na niebie pojawiła się wielka ognista kula, większa o połowę od tarczy Słońca. Powoli, majestatycznie płynęła w powietrzu w akompaniamencie narastającego gwizdu. Nagle, bez żadnej zapowiedzi, zmieniła kierunek ruchu o dziewięćdziesiąt stopni, by zniknąć za horyzontem.

Jacht ze wszystkich stron ogarnęła gęsta i duszna mgła.

Bardziej, niż skroploną parę, przypominała dym z palonych opon, pozbawiony jednak charakterystycznego smrodu. Jej barwa zmieniała się od krwistej czerwieni, poprzez pomarańcz, żółć, trawiastą zieleń do granatu i fioletu. W końcu zapadła całkowita ciemność oraz głęboka cisza. Zanim jednak ktokolwiek zdążył jakoś zareagować, wróciło światło i dźwięk, a wszyscy poczuli jak wnętrzości podchodzą im do gardła. Spadali we mgle gęstej jak wata i znowu szczęśliwie tak samo białej. Z potężnym wstrząsem i donośnym pluskiem „Stellar Gale” runął do wody.

Wzburzone fale zwały się na pokład, zalewając wszystko i wszystkich w potężnym, słonym rozbryzgu.

Mgła zniknęła tak samo nagle, jak powstała. „Stellar Gale” kołysała łagodna fala i owiewał słaby wietrzyk wiejący od rufy. Pierwszym, któremu udało się coś wyksztusić, był niespodziewanie Marek. Inna sprawa,

że nie było to sformułowanie szczególnie wymyślne.

- O kurwa!

MASZTY NOCĄ NIE MUSKAJĄ...

Trudno jednak było go potępić. Widok, który oglądali, w niczym, ale to naprawdę w niczym, nie przypominał październikowego Bałtyku. Od momentu,

gdy niesamowite światło rozlało się po wodzie, nie minęło nawet pół minuty. Po Bis-typie głos odzyskał Hubert.

- „Bogiem żarliwym i mściwym jest Pan. Mściwy jest Pan i pełen gniewu. Mści się Pan na swoich wrogach i wybucha gniewem na swoich nieprzyjaciół”.

- Stul pysk!

Sam fakt, że Nawrocki użył takiego zwrotu,

najlepiej świadczył o stanie, w jakim się znajdował.

Niemniej był właściwym człowiekiem na swoim miejscu. Dwadzieścia lat pływania po morzach nauczyło go, że kiedy okoliczności wymykają się spod kontroli, należy szybko zaznaczyć, że kapitan absolutnie panuje nad sytuacją. Był to u niego odruch,

który już raz, podczas słynnego rejsu „Nix Olimpica”

wokół Antarktydy, uratował jacht i załogę. Teraz zadziałał ponownie.

- Sternik ostrzyć do bajdewindu. Zrzućcie foka,

postawcie genuę - uprzednio znowu zmieniono sztaksła.

- Piotrek, co z naszym obiadem? Tomek, sprawdź, co się dzieje z tymi przyrządami.

Wydane rozkazy były w większości zupełnie zbędne, ale dzięki nim załoganci nie mieli czasu do namysłu. Gdyby taką możliwość dostali, łatwo mogliby dojść do wniosku o beznadziejności położenia. Aż strach pomyśleć, co by mogło się wtedy stać.

Zdesperowany człowiek zdolny jest absolutnie do wszystkiego. Tymczasem, nawet dziwne zachowanie pozycjometru, w obliczu obrazów widocznych wokół,

schodziło na plan dalszy. „Stellar Gale” znajdował się w środku olbrzymiej misy, której brzegi uciekały w nieskończoność. Jadownicie błękitne morze, upstrzone ciemnymi plamkami wysp, czy też tego, co tak właśnie wyglądało, wspinało się ku górze, gdzie przechodziło w ciemnobrunatny masyw czegoś, co mogłoby być lądem.

Nad wodą leniwie płynęły bielutkie, niczym wielkanocne baranki, obłoki. Gdzieś daleko, może o tysiąc kilometrów, kłębiły się cumulonimbusy frontu burzowego. Fidyk, patrząc na to zjawisko, obawiał się,

że zaraz zwariuje. Z trudem oderwał od niego wzrok,

by spojrzeć na końcówkę Kujona wyprowadzoną do kokpitu. Była tam masa wskaźników, ale uwagę jego zwróciły przede wszystkim dwa. Na echosondzie pojawił się odczyt „6500”, niby na jakimś oceanie.

Pozycjometr natomiast wyświetlał komunikat: „BRAK ODCZYTU”. Borys wyzerował go, ale rezultat był identyczny. Wyglądało na to, że GPS nie może odebrać sygnału. Tak jakby satelitów w ogóle nie było. Fidyk przełączył monitor na mapę pogody. Identyczny rezultat!

- Co jest? Wojna jaka, kurwa, czy co? - wystękał w panice Marek.

Tomasz miał odmienne zdanie w tej kwestii. Powoli docierała do niego straszliwa prawda. Nie chciał jednak w nią uwierzyć. Alternatywą było jednak stwierdzenie,

że zwariował. Nie chciał tak myśleć.

- Spójrz wokół! - wysyczał do ucha Nawrockiego. -

Nie ma łączności z GPS i meteo. Chcesz się założyć, że radio i telewizja też nie działają?

Jacht przechylił się na lewą burtę i ruszył szparko przed siebie. Dokąd? Nikt nie wiedział. Wykonali polecenia Borysa, ale widać było, że niewiele im potrzeba do popadnięcia w histerię. Najlepiej sytuację znosił Tomasz i o dziwo Hubert, który znowu międlił w ustach swoje cytaty.

- „On gromi morze i wysusza je; sprawia, że wszystkie rzeki wysychają”.

- Jeżeli weźmiemy pod uwagę wszystkie dostępne fakty - wyjaśniał dalej Fidyk - to nasuwa się tylko jeden wniosek: ŚWIAT SIĘ SKOŃCZYŁ!

Tak, jak się obawiał, Borys nie zamierzał przyjmować tego do wiadomości. Musiał być niezwykle wzburzony, skoro używał aż takich wyrażań.

- Nie pierdol! Co z inercjometrem?

Był to drugi, niezależny od GPS system nawigacyjny. Ten się przynajmniej nie wykasował. Na monitorze pojawiły się zarysy wybrzeży.

- Pokazuje jakieś trzy mile na wschód od Stevens Klint, ale nie dałbym głowy, że to prawda.

- Może to tylko awaria Kujona?

Borys w dalszym ciągu czepiał się nadziei. Ostatnie złudzenia zostały jednak rozwiane, kiedy Fidyk podetkał mu pod nos, niezależny od Kujona,

kieszonkowy odbiornik GPS. I tu świecił się złowrogo:

„BRAK ODCZYTU”.

- „Góry drżą przed Nim, a pagórki się rozplywają;

ziemia staje się przed Nim pustynią, smucą się wszyscy jej mieszkańcy”.

Przekonawszy ostatecznie kapitana, Fidyk zwrócił się do reszty skamieniałej załogi:

- Nie pytajcie mnie, jak to się dzieje, ale sądząc po ekspozycji, którą tu widać, **TEN ŚWIAT JEST PŁASKI!**

- „Kto ostoi się przed Jego srogością? Kto wytrwa wobec zapalczywości Jego gniewu? Jego zawziętość roznieca się jak ogień, a skały rozpadają się przed Nim”.

Wbrew wszelkiej oczywistości dawali się wciągać do tej absurdalnej, czysto akademickiej dyskusji.

- Dlaczego płaski? - Drżący z przerażenia głos należał do Renaty. - Przecież widać, jak się horyzont podnosi?

- To skutek refrakcji. Światło zagina się w ośrodku gazowym. Dlatego widać to, co widać.

- „Co zamyślacie przeciwko Panu? On dokona zniszczenia”.

Wielka pewność siebie zrobiła wrażenie na słuchaczach. Wyglądali na uspokojonych. Przynajmniej chwilowo. Były jednak dwa wyjątki. Hubert przerwał mamrotanie i wrzasnął:

- To Boskie dzieło! To Pan wystawia nas na próbę!

Po to, abyście w Niego uwierzyli, niewierni!

- Zamknij jadaczkę albo wyrzucę cię za burtę. Zdaje się, że niewiele by nam to teraz zaszkodziło

-

skutecznie uciszył go Borys.

On sam był oczywiście drugim wyjątkiem. Znał Fidyka od niepamiętnych pradziejów i doskonale wiedział, kiedy Tomasz jest czegoś pewien, a kiedy nie.

Nie zamierzał jednak rozpowszechniać swojej wiedzy wśród dostatecznie spanikowanej załogi. Zanim jednak zdążył poruszyć ten temat w cztery oczy z samym zainteresowanym, wypadki nabrały niespodziewanego przyśpieszenia.

Pierwsza zauważyła to Anna. Kula ognia,

wydawałoby się kawałek Słońca, oderwany od niego tajemniczą siłą, poruszała się w kierunku, nazwanym tymczasowo, według tego, co pokazywał kompas,

„wschodem”.

- Patrzcie, czy to nie to samo?

Pytanie było bez sensu, jeden bowiem bolid jest zawsze podobny do drugiego bolidu. Zwłaszcza, że temu nie towarzyszyły jednak żadne inne spektakularne zjawiska, które tak dały im się we znaki uprzednio.

Liczyło się jednak to, że wszyscy chcieli, aby zdarzenia te były tożsame. Ledwie lornety poszły w ruch, gdy we wnętrzu kadłuba rozległ się niski, pulsujący dźwięk.

Tym razem był to owoc genialnego pomysłu Eli. Skoro, zgodnie z przypuszczeniami Fidyka, nie dawało się wykryć żadnej sztucznej emisji elektromagnetycznej,

zaprogramowano Kujona, aby w przypadku odebrania jakiegokolwiek transmisji, sygnalizował ten fakt akustycznie. Marek, odpowiedzialny za łączność,

zanurkował w głąb zejściówki. Płonący meteor sunął po niebie w stronę ścianki gigantycznego kielicha, we wnętrzu którego się znajdowali. Sygnał z komputera zamilkł jak ucięty nożem. Kłęb ognia, wyglądający z tej odległości, nawet przez dwudziestoczekrotną lornetkę, jak płomyk świeczki, zetknął się w końcu z błękitną powierzchnią na samej granicy z kolorem brązowym, prawie dokładnie na prawym trawersie. Jak olbrzymi musiał być kłęb pary i dymu, skoro wydawał się tak wielki z tej ogromnej odległości! Dopiero teraz,

po blisko sześciu minutach dobiegł ich głuchy pomruk rozpychanej przez obiekt atmosfery.

- Czas, czas! Musimy znać odległość!

Sam Piotrek przytomnie uruchomił stoper w momencie zetknięcia ognia z wodą.

- Najpierw będzie na sonarze - wyjaśnił Borys, schodząc pod pokład.

Nie omieszkał jednak wziąć uprzednio namiaru na miejsce katastrofy. Było to o tyle łatwe, że wydarzenie to miało miejsce tuż koło półwyspu o charakterystycznym, haczykowatym kształcie. Po drodze minął się z Markiem. - No i co to było? -

Podobnie jak wszyscy, Ela płonęła z niecierpliwości.

- Sygnał telewizyjny, ale zniekształcony do niezrozumiałości. Potem nic. Głucha cisza.

- W każdym bądź razie świadczy to o sztucznym charakterze obiektu. Nie wierzę w takie zbiegi okoliczności. - Tomasz uważał za stosowne podtrzymać rozczarowanych na duchu.

Nie dając im czasu na zadawanie pytań, na które nie znał odpowiedzi, podążył za Borysem. Nawigacyjna znajdowała się zaraz po lewej stronie od wejścia,

dokładnie naprzeciw kambuza. Swoją nazwę zawdzięczała tradycji. Próżno byłoby szukać tutaj map,

locji czy spisów sygnałów brzegowych. Wszystko to oraz wiele innych rzeczy przechowywał w swojej holograficznej pamięci komputer. W rzeczywistości całą nawigację prowadził Kujon. Tylko

Borys i Tomasz wiedzieliby, jak zdjąć linię pozycyjną ze Słońca lub jakiejś innej gwiazdy. Młodszy od nich Marek już tego nie potrafił. Nie mówiąc już o pozostałych, którzy wychowani w bezstresowych szkołach, nie tylko nawigację, ale całą matematykę traktowali jak czarną magię. Kapitan siedział skupiony ze słuchawkami na uszach. Nagle podniósł głowę.

- Teraz - powiedział.

Tomasz zerknął na stoper. Trzynaście minut! Resztę można było wyliczyć ze znanego wzoru „droga-czasprędkość”.

Wypadło ponad tysiąc sto kilometrów. Albo, jak kto woli, sześćset mil morskich. Wydawałoby się to dużo. Dla „Stellar Gale” jednak było to niespełna dwadzieścia godzin żeglugi. W trzy kwadransy później nadeszło potwierdzenie w postaci długiego, głuchego grzmotu. „Stellar Gale” w tym czasie pędził na pełnych żaglach z prędkością trzydziestu sześciu węzłów.

Ustalając kurs na ledwo już widoczny słup pary, Borys wziął poprawkę na ewentualną krzywiznę planety.

Kapitan ciągle bowiem nie mógł uwierzyć w płaski świat, gdzie na krawędziach woda z oceanów w gigantycznych wodospadach przelewa się w nicość, a śmiały podróżnik może przedostać się na drugą stronę sklepienia niebios.

Pięć godzin później okazało się, że to, co brali za „wschód”, jest tak naprawdę zachodem. Zachód tutejszego „Słońca” był równie dziwaczny jak cały ten świat. Płomienna kula powoli zbliżała się do krawędzi czaszy, czerwieniąc coraz bardziej, do stopnia nie spotykanego na Ziemi. W kilka ledwie minut po zapadnięciu ciemności niespodziewanie wynurzyła się po drugiej stronie tego niesamowitego horyzontu. Tylko przez krótką chwilę Fidyk i Ela podziwiali niezwykle,

absolutnie różne od znanych, gwiazdozbiory. Można by pomyśleć, że trafili w okolice podbiegunowe, gdyby nie to, że w południe tutejsza gwiazda dzienna znajdowała się prawie w zenicie. Tomasz poinformował o tym zdumionego dziennym światłem Borysa, budząc go na zmianę wachty.

- Wydaje mi się, że fałszywie zinterpretowałem naszą sytuację. Ten świat wcale nie jest płaski. Gdyby tak było, radar wykrywałby nawet odległe obiekty, a tymczasem nie ma żadnego odczytu.

Nawrocki przywitał to oświadczenie z wyraźną ulgą.

Nie musiał już przewracać swojego racjonalnego światopoglądu na nice, aby zaakceptować przelewające się w nicość przez kraniec świata oceany. Niemniej postanowił rozwiązać ostatnie wątpliwości.

- Skąd w takim razie ten pejzaż?

- Mówiłem już o refrakcji. To musi być superrefrakcja. Taka wielka fatamorgana. Czytałem o czymś takim, ale nigdy nie sądziłem, że to zobaczę. Ale ugięcie fal w płynach zależy od ich długości. Falę

MASZTY NOCĄ NIE MUSKAJĄ...

radarowe, jako znacznie dłuższe od światła, nie zginają się tak jak ono. Zresztą-wyraźnie ożywił się-to od początku było debilne założenie. Gdyby prawa fizyki różniły się tutaj chociaż minimalnie od naszych,

nie przeżylibyśmy nawet sekundy. Momentalny i całkowity rozpad materii, z której jesteśmy zbudowani.

Nie ma już protonów, neutronów, nawet kwarków.

Chyba tylko fotony. I tak zresztą nasze szansę oceniam niewysoko.

- Skąd taki pesymizm? Na razie przecież żyjemy.

- Ale co to za życie? I jak długo? Płyniemy na ślepo,

nie wiedząc, czy na końcu coś znajdziemy i co to będzie. Zgoda, odebraliśmy jakiś sygnał. Ale co to było? Załóżmy, że jest to statek kosmiczny. Skąd pewność, że będziemy w stanie nawiązać z nimi porozumienie? Przecież to nie będą ludzie: Żadna ziemiska technika nie potrafi wyrabiać takich sztuczek z przestrzenią. Zakładając, że uda się z nimi dogadać, czy zechcą nam pomóc? I czy będą w stanie to zrobić? Coś mi się widzi, że ten przelot, to nie by^ł normalny sposób lądowania. Całkiem możliwe, że nie zastaniemy tam nawet szczątków.

- Zawsze możemy próbować żyć tutaj. - Borys najwyraźniej sam nie był o tym przekonany.

- Nic z tego nie wyjdzie. Umrzemy, gdy skończy się żywność. Ponieważ nie jesteśmy na Ziemi, miejscowa flora i fauna prawie na pewno nie będzie dla nas przyswajalna. Rozumiesz, brak odpowiednich aminokwasów albo mikroelementów. Zresztą do tej pory i tak nic nie złapało się na błystki. W ogóle,

oprócz meduz, nie widać tu żadnych zwierząt. Ani w wodzie, ani w powietrzu. U nas, nawet na morzu, życie aż kipi. Ryby, jakieś foki, ośmiornice, pełno ptaków.

Nawrocki z przerażeniem wysłuchiwał tych wywodów. Do tej pory był raczej umiarkowanym optymistą. Nagle zdał sobie sprawę, że Tomasz musiał wałkować te myśli w sobie przez wiele godzin.

Tymczasem mówił o tym tonem tak obojętnym, jakby prowadził wykład, a problemy w nim poruszane nie dotyczyły go w żadnym stopniu. Borys zazdrościł mu tej obojętności.

- Pokażę ci coś jeszcze.

Fidyk podsunął mu zegarek z włączonym wysokościomierzem. W umyśle kapitana zdziwienie wyparło na moment dławiający go lęk o przyszłość.

Nawrocki zbaraniał do reszty. Minus trzysta metrów!

- Nic już nie wiem - przyznał się.

- Nie bądź taki Sokrates. Ja też nie. Dwie godziny temu mijaliśmy po nawietrznej małej wysepce. Coś na kształt atolu. Był niestety całkowicie pozbawiony flory.

Goła skała. Ale wydawało mi się, że coś widziałem.

Nie byłem na tyle pewny, żeby robić alarm z błahego, być może, powodu.

- Ale co to było?!- Borys był gotowy na wyjście z siebie.

- Rafa koralowa.

Gdy Fidyk zszedł na dół, Nawrocki został sam, ze swoimi niewesołymi rozważaniami. Pomyślał o hipotetycznym pojeździe kosmicznym, ku któremu zdążali. Pierwsze spotkanie z obcą cywilizacją, cholera!

A może i nie pierwsze? - przemknęło mu przez omózgowanie. - Czyżby stare opowieści o trójkącie bermudzkiem nie były tak całkiem lipne? W takim razie jesteśmy bez szans na powrót. Ale tajemnicze zaginięcie na Bałtyku? - Wtem nagła myśl zmroziła go na lód: Wszak niezbyt daleko od miejsca, gdzie stracili kontakt ze swoim światem, pół wieku temu, zniknął bez śladu „Janosik”! Co prawda było to na Skagerraku, ale ta czy tamta strona Jutlandii, co to w końcu za różnica?

O ile pamiętał, a pomimo upływu czasu; ta historia wciąż była powtarzana ze zgrozą, znaleziono po nich tylko koło ratunkowe. Odruchowo rozejrzał się po pokładzie. Niczego nie brakowało. Po nas nie zostanie nawet kapok - skonstatował ze smutkiem.

„Stellar Gale” kontynuował rejs ku swemu przeznaczeniu.

Była akurat w jego typie. Malutka i szczupła blondynka. Wyglądała jak śliczna porcelanowa laleczka. Uśmiechając się uwodzicielsko, szepnęła: -

Ale jesteś przystojny. - Podeszła bliżej. Wyciągnęła ramiona. Schwyciła go i zaczęła tarmosić.

- Obudź się, Tomek, obudź się wreszcie.

Głos się pogrubiał. Blondynka gdzieś odpłynęła.

Zostało namolne potrząsanie i natrętny głos Marka.

- Wstawaj, wstawaj, ważne rzeczy się dzieją.

Z trudem rozkleił ciężkie jak ołów powieki.

Stanowczo nie był na tyle młody, żeby obywać się tak małą ilością snu. Nie można długo żyć na samej kofeinie. Spojrzał na zegarek. Była dziewiąta rano.

Czasu środkowoeuropejskiego. Tu oczywiście dzień panował przez prawie cały czas. Niemniej jakies rytmy dobowe należało zachowywać. Z pokładu dobiegały podniecone głosy.

- O co oni się kłócą?

Rozpoznał głos Renaty i Borysa. Hubert znowu odmawiał jakieś psalmy.

- „Głupi rzekł w sercu swoim: Nie ma Boga! Są znieprawieni, popełniają ohydne czyny”.

To o mnie - pomyślał. - Ciekawe, jaką ohydę ma na myśli?

- Trzy godziny temu przepływaliśmy nad jakąś górą.

Piotrek zarzucił drąg i wyciągnął jakiś wodorost.

Podobno Renata go rozpoznała, a Borys nie chce w to uwierzyć. Zresztą jest coś ciekawszego. Sam posłuchaj.

Wcisnął mu słuchawki od sonaru, równocześnie podkręcając moc na maksimum. Z początku Fidyk słyszał tylko ciszę. Gdy jednak zmysły wyczuliły się,

wyraźnie to do niego dotarło. Łoskot był cichy, ale wyraźny. Nie śmiał wierzyć własnym uszom. Odgłos przypominał hałas zapuszczanego silnika. Na swoim monitorze Kujon podawał taką samą interpretację,

określając jej prawdopodobieństwo na osiemdziesiąt pięć procent! Słuchał jeszcze chwilę, ale nic nowego nie zakłóciło już naturalnych odgłosów oceanu.

Spojrzał jeszcze raz na ekran. Odległość: sto

kilometrów, głębokość: od pięćdziesięciu do trzystu metrów. Kujon uprzejmie wyjaśnił, że większą precyzję w określeniu głębokości można osiągnąć, zbliżając się do źródła dźwięku. Nie chodziło im o nic innego.

Tomasz poczuł wręcz fizycznie, jak ciężar odpowiedzialności staje się lżejszy. Do tej pory dzielił go tylko z Borysem, który był bardzo dobrym żeglarzem, kapitanem oraz informatykiem, i jemu głównie, a nie odpowiedzialnemu w końcu za to Tomaszowi, zawdzięczali szybkie uruchomienie i sprawne funkcjonowanie Kujona. Ale ze względu na dość konserwatywny sposób myślenia oraz brak giętkiej wyobraźni, nie bardzo nadawał się do rozwiązywania nietypowych problemów. Marek z kolei, interesował się wyłącznie dziewczynami i piwem. Pozostali? Garstka przerażonych dzieciaków po maturze, w tym Ela, która do wczoraj nie miała poważniejszych dylematów, jak wybór między wyjazdem z blondynem na Majorkę, a podróżą z brunetem na Karaiby. Sam rejs po morzu był dla nich wystarczającym stresem, a co dopiero to. Fidyk więc musiał podołać za wszystkich. Czuł, że nie da rady,

jeżeli przeciągnie się to dłużej.

Mrużąc oczy, wdrapał się na pokład.

- Mówię wara, to jest archeocjat, a to co po nim łąziło, to z całą pewnością parvancorina!

Renata była święcie oburzona, że nie chcą jej uwierzyć.

- Zgoda, wierzę, że znasz się na tym, ale czy jesteś zupełnie pewna, że się nie pomyliłaś?

- „Pan spogląda z niebios na ludzi, aby zobaczyć, czy jest kto rozumny, który szuka Boga”.

- No, zupełnej pewności to mieć nie mogę. - Renata zdawała się cofać pod naporem kapitana.

Tomasz ujrzał przedmiot sporu. Była to grubościenna rurka o długości i średnicy palca. Tak się to miało do wodorostu, jak tygrys syberyjski.

Wyglądała jak jeden z gatunków koralu. Inna sprawa, że nigdy nie widział podobnego kształtu. Ale też jego wiedza o taksonomii jamochłonów było mierna albo bliska temu.

- Założmy przez chwilę, że masz rację. To czym, w takim razie my oddychamy? - Borys, jak się wydawało,

przywoździł Renatę ostatecznie. - Sama przecież o tym mówiłaś.

- „Wszyscy odstąpili, wespół się splugawili, nie ma, kto by dobrze czynił, nie ma ani jednego”.

- Możecie mi powiedzieć, o co chodzi? - Fidyk w dalszym ciągu tego nie rozumiał.

Parvancorina brzmiała dla niego jak pabialgina.

Jeżeli chodzi o archeocjat, to nasuwały mu się jakieś mgliste skojarzenia, ale na razie nie potrafił ich zidentyfikować.

- Renia twierdzi, że znajdujemy się w jakimś karbonie czy jurze.

- Nie w jurze, tylko w kambrze, pięćset milionów lat temu! Jakby w wybuchu światłości odpowiednie synapsy zwarły się w jego mózgu. Przypomniawszy sobie książkę czytaną w dzieciństwie. Było to jeszcze przed obowiązkowym nauczaniem kreacjonizmu w szkołach państwowych. Ediacara!

Oczywiście, znał parvancorinę! Gdy już wiedział o co chodzi, przypomniał sobie i archeocjat.

- A parvancorina? Przecież jest częścią fauny z Ediacara, Starsza od tych archeocjatów o trzysta milionów lat!

Archeocjaty, jak to sobie Tomasz przypominał, były głównymi organizmami rafotwórczymi w tym pierwszym okresie ery paleozoicznej. - Nic dziwnego,

że widziałem jakąś rafę.

- „Czyż są nierozumni wszyscy czyniący nieprawość?”

- No właśnie. Ja też tego nie kumam - przyznała Renata. - Poza tym jeszcze sprawa tlenu. Nie powinno być go tyle, żeby można było oddychać. Być może Berkner i Marshall mylili się i stężenie tlenu rosło znacznie szybciej. Z drugiej jednak strony, możliwość oddychania mniej zależy od tlenu, a bardziej od stężenia dwutlenku węgla. Sama już nie wiem.

- A może to nie jest prawdziwy archeocjat?

Konwergencja? To by tłumaczyło wszystkie niezgodności. Również tę dziwną atmosferę.

- „Tyś Panem moim, nie ma dla mnie dobra poza Tobą”.

- A bo ja wiem? To też możliwe.

Konsekwencje odkrytych właśnie faktów przyprawiały Fidyka o ból głowy. Do tej pory powoli godził się z myślą o przemieszczeniu „Stellar Gale” w przestrzeni, na jakąś odległą planetę, pod obcym Słońcem. Teraz jednak opadły go wątpliwości. Co prawda na własne oczy widział niezwykle konstelacje,

ale to też o niczym nie świadczyło. Gwiazdy znajdują się w ciągłym ruchu i już po stu tysiącach lat niebo gwiazdziste jest nie do poznania. A jednak idea podróży w czasie była nie do strawienia. Im bardziej się w nią wgłębiać, tym bardziej paradoksy wydawały się nie do opanowania. Pierwszy i najsłynniejszy z nich, paradoks dziadka, napełniał trwogą. Przecież w kłębiącej się w tej, jeżeli przyjąć interpretację Renaty, pra-Panthalassie masie różnych robaków, każdy mógł być ich wspólnym przodkiem! Przodkiem wszystkich strunowców! Innym zagadnieniem, nie mniej ważnym, była sprawa bakterii i wirusów, które każde żywe stworzenie, a więc i człowiek, nosi w sobie. Ich DNA nie powinien się przecież pojawić w przyrodzie jeszcze przez setki milionów lat. Stanowczo, do momentu pojawienia się bardziej przekonujących dowodów, wołał, jako hipotezę roboczą, przyjmować przemieszczenie w przestrzeni, a nie w czasie. Narastające huki i łomoty w sonarze zdawały się ją potwierdzać. Mimo to zaczął jednak zazdrościć Hubertowi jego niezłomnego przekonania o stworzeniu świata w 4004 roku przed naszą erą, szesnastego października o czwartej po południu. Nagle ze zgrozą uświadomił sobie, że właśnie, za kilka godzin minie dokładnie sześć tysięcy

MASZTY NOCĄ NIE MUSKAJĄ...

dwadzieścia lat od tej daty. Czy to ma jednak jakieś znaczenie? Chyba jednak nie - zdecydował.

Przerywając te niewesołe rozmyślania, rozejrzał się po otoczeniu. Opuścili już ocean i wpłynęli na morze szelfowe. Wskaźnik echosondy oscylował wokół dwustu metrów. Ktoś, charakteryzujący się isticie czarnym dowcipem, wywiesił pod salingiem pasiastą, żółto-niebieską flagę „Golf kodu sygnałowego.

Oznaczała ona „Potrzebuję pilota”. Szkoda, że jedyny potencjalny odbiorca sygnału spoczywał półtorej setki metrów pod powierzchnią modrej wody i dawał znać o sobie tylko narastającym hałasem w słuchawkach. Stały ląd rozciągał się w odległości, o ile można to było ocenić przy tak dziwnym oświetleniu, dziesięciu kilometrów. Z tego dystansu, nawet oglądany przez szkła lornety, nie prezentował się lepiej, niż z odległości sto razy większej. Ponura żółtoczerwona,

bez śladu zieleni, pustynia zamykała potężnym murem pół horyzontu. Potężne ściany opadały stumetrowym klifem wprost do morza. U podnóża tego gigantycznego muru kłębiły się białe welony przyboju. Welony?

Raczej śmiertelne całuny. Wszelka myśl o przybiciu w tym miejscu do brzegu byłaby szaleństwem. Obecność takiej bariery oddziaływała na Tomasza wybitnie klaustrofobicznie. Hen, gdzieś na wysokości salingów,

może o pięć tysięcy kilometrów, na samej granicy widoczności, gdzie brzeg gigantycznej niecki zlewał się w błękitnawej mgiełce z niebem, można było wyróżnić jeszcze inny błękit. Widzieli drugą stronę tej olbrzymiej pra-Pangei, brzeg omywany falami prawdopodobnie tego samego oceanu, do którego przynależało morze, na którym unosił się obecnie „Stellar Gale”. Próżno by szukać w tym prawdziwie marsjańskim krajobrazie śladów jakiegokolwiek wegetacji. W tym świecie

życie nie objęło jeszcze w posiadanie lądów. A jednak ciągle podejmowało takie próby. Fidyk przekonał się o tym,

dojrzawszy, w dwunastokrotnym powiększeniu, na nadbrzeżnych skałach, zwały jakiejś zielonej substancji.

Zrozumiał, że są to glony naniesione tam przez tsunami wywołane upadkiem poszukiwanego właśnie obiektu.

Same rośliny obumierały w świetle macierzystej gwiazdy pozbawione życiodajnego płynu - wody. Ale pewnego dnia, może za milion lat, może za sto milionów, a może już jutro, znajdzie się jeden odporny mutant, który nie tylko przeżyje, ale i wyda potomstwo.

Płomień życia przeleci błyskawicznie po suchym lądzie tej planety w wybuchowej radiacji adaptatywnej. I kontynenty zazielenia się lasami. Po roślinach przyjdą zaś zwierzęta i być może za miliard lat, inteligentna istota, ciekawa swojego istnienia i swojej historii,

znajdzie w osadach geologicznych dowody na pochodzenie jej gatunku od miękkich robaków leniwie przemierzających te ciepłe akweny. Jedynym barwnym urozmaiceniem rudobrazowej płaszczyzny lądu była oślepiająca biel lodowców, utworzonych w górach o wysokości Himalajów, około dwustu kilometrów od brzegu. Z Himalajów tych wypływały potężne rzeki,

niczym antenaci Gangesu, tocząc dostojnie swe wody ku morzu. Ujście najbliższego z tych gigantów znajdowało się jednak dosyć daleko ku północy. Za daleko, by tam podążyć. Zresztą, badania tego świata znajdowały się blisko końca ich listy priorytetów.

Tomasz zastanawiał się, dlaczego nie widać większych śladów prawdziwie kosmicznej katastrofy,

którą widzieli przecież i słyszeli z odległości wielusetek kilometrów. W końcu doszedł do jedyne słusznego wniosku, że ten sztuczny meteor zetknął się z powierzchnią morza pod bardzo ostrym kątem i ostatnie sto kilometrów pokonał pod wodą. Mieli jednak niebywałe szczęście. Trafienie z odległości sześciuset mil do widzianego tylko raz i to na krótko punktu,

byłoby praktycznie niemożliwe, gdyby cel nie demaskował swojej obecności, emitując, wykrywalne w promieniu wielu setek kilometrów, dźwięki. W tym,

praktycznie pustym biologicznie, oceanie były one doskonale słyszalne. Dodatkową, sprzyjającą okolicznością, była prawie całkowita pasywność sejsmiczna tej niezwyklej okolicy. Załoga zakrzętała się przy zrzucaniu genui. Prędkość znacznie spadła. Na samym grocie i przy obecnym, słabym podmuchu wlekli się pięć węzłów. Borys zdecydował nie uruchamiać silnika, oszczędzając każdą kroplę paliwa,

którego zapas, jako jedyna część wyposażenia statku,

był nieodnawialny. Zamiast diesla postanowił użyć „pajaka”, gigantycznego wiatraka dającego za pomocą systemu przekładni napęd bezpośrednio na śrubę.

Można go było również wykorzystać do ładowania akumulatorów, ale teraz, wobec braku nocnych ciemności, nie było to potrzebne. Z głośnym hurgotem grot zrolował się do wnętrza masztu. Tomasz z Borysem i Elą zaczęli montaż, złożonego do tej pory,

mechanizmu. Nie było to zresztą specjalnie trudne. Po chwili ośmiometrowe nogi „pająka” rozpoczęły swój monotony obrót. Oczywiście, moc dostarczona przez urządzenie była niewielka, ale obecnie wystarczała w zupełności. Powoli zbliżyli się do tego szczególnego miejsca. Wreszcie Nawrocki dał „stop”. Dokładnie piętnaście dziesiątków metrów pod nimi znajdował się cel tej sześćset-milowej podróży i ich jedyna nadzieja na powrót do domu.

- Rany boskie, ja już nie mam siły.

Nie można było dziwić się Eli. Przez pięć godzin zniechęcenie i rozczarowanie zdążyło ogarnąć wszystkich.

- Próbowaliśmy już sonaru, gertrudy i VLF. Nie mam pojęcia co jeszcze moglibyśmy zrobić. Te pieprzone ufoludki w ogóle nie raczą na nas reagować.

W ciągu minionej doby arystokratyczna ogłada zdążyła całkowicie opuścić kapitana.

- „Wysłuchaj, Panie, sprawiedliwej sprawy, zważ na błaganie moje, przysłuchaj się modlitwie z warg mych nie- obłudnych”.

W Bistypie nagle coś pękło. Zdecydowanym ruchem obrócił się ku Hubertowi.

- Skończ te swoje zawodzenia! Gdzie jest ten twój zbawca?! Nie przychodzi ci na ratunek?! Może takiego chuja, jak ty, ma za nic?! A może tego starego kutasa w ogóle nie ma?! Po prostu: nie ma! Nie istnieje! -

Zaniósł się histerycznym śmiechem.

Wszyscy zamarli. Do tej pory nikt nie próbował drwić z prawdziwie głębokiej wiary Chylewskiego,

któremu obecnie cała krew uciekła z twarzy. Mimo to spięcie spełzłoby pewnie na niczym, gdyby nie to, że nagromadzone w Marku stresy, frustracje i ostatnie rozczarowania najwyraźniej postanowiły wyładować się do końca. Nie zważając na nic, wyrwał Hubertowi z ręki Biblię i cisnął ją za burtę. To przeważyło szalę. Z głuchym charkotem, poszkodowany rzucił się Markowi do gardła, zaciskając na nim palce. Mnóstwo rzeczy zaczęło dziać się jednocześnie. Usiłując chwycić rzuconą księgę, Renata wychyliła się za bardzo poza reling i straciła równowagę. Tomasz zdążył ją złapać za pasek od spodni, ale, jako że bliźniaczki na braki w wyżywieniu nie mogły narzekać, nie zdołał jej utrzymać. Oboje polecili za burtę. Równocześnie,

spleceni w uścisku Marek i Hubert przetoczyli się po pokładzie w kierunku rufy, gdzie oparli się o linkę relingu wygięci w niesamowitej pozycji. W sekundę potem obaj sturlali się po pawęży,

porywając ze sobą Annę, która miała pecha stanąć im na drodze. Nie minęło kilka sekund, a prawie dwie trzecie załogi znalazło się w morzu. Sytuacja nie była jednak tak groźna, jak poprzednim razem. Jacht był praktycznie nieruchomy. Sterowany przez Kujona wykonywał jedynie niewielkie ruchy, aby utrzymać się ściśle w zadanej pozycji. Temperatura wody była ponadto dużo wyższa niż w październikowym Bałtyku. Toteż Borys z Piotrkim spokojnie opuścili drabinkę na pawęży, a Ela odłączyła chwilowo „pajaka” od śruby. Przyczyna całego zamieszania nie skorzystała z możliwości zatonięcia, tylko pływała sobie po falach, pogodnie szeleszcząc kartkami, dopóki nie zgarnął jej właściciel.

Z wysokości trzech metrów dobiegł ich głos Sztubińskiego:

- Całe szczęście, że jestem tylko kucharzem i za nic nie odpowiadam.

Mokrzy i wściekli po kolei wdrapywali się na pokład. Ostatni wszedł Fidyk. Chwilę stał na achterdeku, a spływająca z niego woda tworzyła malowniczą kałużę. On również, podobnie jak wcześniej Bistyp, podjął nieodwołalną decyzję.

- Dobra, do cholery, zrobię to! Nawrocki popatrzył na niego wnikliwie.

- Czy jesteś pewny?

- A czy mamy jakąś alternatywę?

Na to pytanie Borys nie udzielił odpowiedzi.

Oczywiste było bowiem, że nie mają.

W pół godziny później spotkali się sami w achterpiku, pomiędzy zapasowym osprzętem, pakami z żywnością, składanymi rowerami i najważniejszym obecnie, sprzętem do nurkowania. Tomasz włożył już strój do nurkowania technicznego. Obecnie przymierzał czołówkę. Obaj z Nawrockim rozważali wcześniej ten wariant, ale postanowili zachować go na ostatnią chwilę, ze względu na kolosalne ryzyko, jakie ze sobą pociągał. Chociaż bowiem na „Stellar Gale” znajdowały się potrzebne ku temu urządzenia, tak kosztowne, że stanowiły przedmiot odrębnego, od jachtowego,

ubezpieczenia, a dla Fidyka nie było to pierwsze zejście pod wodę, to jednak nigdy nie próbował on schodzić głębiej niż na pięćdziesiąt metrów. Również nowa generacja sprzętu stanowiła dla niego niewiadomą. Nie najmniej istotną trudnością była również konieczność nurkowania samotnego. Tomasz nie miał najmniejszego zamiaru na powiększenie i tak zbyt dużego ryzyka,

zabierając ze sobą jakiegoś żółtodzioba. Na przykład Piotrka, który niespodziewanie bardzo napalił się na tę wyprawę. Przyszło im żałować, że wśród niezliczonej liczby gadżetów, budowniczym jachtu nie wpadło do głowy umieszczenie gustownego robota do prac podwodnych, wyposażonego dodatkowo w kamerę.

Cóż, każda pomysłowość ma swoje granice. I cenę.

- Zeszukowaliście te liny? Jest dwieście metrów?

- Tak. Marek właśnie ją wypuszcza.

- Sprawdziłeś węzły?

- Wszystko dokładnie sprawdziliśmy. - Nawrocki zamilkł na chwilę. - Czy trzeba to robić?
- Trzeba.

Znowu milczenie. Borys nie mógł odpędzić przeczucia, że widzi Fidyka po raz ostatni.

„Nurkowanie techniczne różni się od konwencjonalnego tym, czym wspinaczka na Mount Everest od spaceru po parku” - te słowa jednego z odkrywców tej formy rozrywki, sprzed trzydziestu lat,

niewiele straciły na aktualności. Na nic by się tu zdały aparaty powietrzne czy pianki. Ironia tkwi w tym, że powietrze, tak niezbędne do życia, potrafi również bezwzględnie zabijać. Sposobów na śmierć jest więcej niż składników atmosfery. Tlen, na przykład, zatruje ciebie śmiertelnie, gdy przekroczy ciśnienie dwóch atmosfer. Azot zaś atakuje na dwa sposoby: albo przy zbyt szybkim wynurzeniu wydziela się burzliwie we krwi, albo też, działając na ludzki organizm pod wysokim ciśnieniem, wywołuje efekt podobny do upojenia alkoholowego. Końcowy rezultat jest zawsze taki sam. Zejście. Dlatego też skład mieszanki oddechowej musi być "poddany ścisłej kontroli.

Mieszanka ta, to skroplony tlen, hel i wodór. Wodór działa podobnie narkotycznie jak azot, ale hel przeciwnie. Oddziaływania te znoszą się wzajemnie, tak że organizm nurka w ogóle nie odczuwa ich obecności.

Specjalny reduktor, sterowany oczywiście komputerowo, produkował mieszankę trzech gazów, dbając, by ich proporcje były ściśle dopasowane do głębokości. Połączony giętkimi, ale niezwykle wytrzymałymi kablami z konsolą nurkową, komputer informował również Fidyka o przebiegu eskapady i wyznaczał przystanki dekompresyjne w drodze powrotnej. Przed zanurzeniem Tomasz wyzerował go na nowe, podwyższone ciśnienie atmosferyczne. W związku z przełomem technologicznym, polegającym na przechowywaniu gazów w stanie ciekłym oraz

MASZTY NOCĄ NIE MUSKAJĄ...

racjonalnym zużyciu tlenu - aparat pilnował bowiem, by jego ciśnienie parcjalne, podawane do ustnika, nie przekraczało jednej trzeciej atmosferycznego - uległ znacznemu wydłużeniu czas pobytu po wodą. Zestaw,

który obecnie nosił Tomasz, pozwalał teoretycznie na zejście na głębokość półtora kilometra, ale dekompresja przy powrocie trwałaby nawet kilka dni. Za długo. Inna jednak myśl zaprzętała głowę Tomasza. Gotował się na śmierć.

Czasu miał dużo. Bez zbędnego pośpiechu, szeroką spiralą wokół liny opustowej, jechał w dół. Miejscami musiał się zatrzymywać, aby odblokowywać zatkane uszy. Światło wokół powoli niebieszczało. Czuł się,

jakby był zawieszony w wielkiej, błękitnej nicości.

Doskonała sceneria do rozmyślenia o rzeczach ostatecznych.

Nie chodziło tu o niebezpieczeństwa wielkich głębín. Nie obawiał się również, że obce istoty zgładzą go przy próbie nawiązania kontaktu. Myślał o sobie i swoich towarzyszach. Wiedział, że

dzisiejsza awantura była tylko preludium. W tych ekstremalnych warunkach stłoczenie ośmiorga ludzi na małej przestrzeni musi wywoływać konflikty. Niechęć przerodzi się w nienawiść, a ta wybuchnie potężnym płomieniem autodestrukcji, spalającym wszystko i wszystkich. Nie zamierzał w tym uczestniczyć. Nie dlatego, aby jego instynkt samozniszczenia był mniejszy niż u innych. On również zaczynał ich wszystkich nienawidzić. Chciał jednak zachować resztki człowieczeństwa i nie dać się wciągnąć w mordercze rozgrywki. Dlatego też, jeżeli ta misja nie odniesie oczekiwanego rezultatu, a wszystko,

choćby zagadkowe milczenie Obcych, na to wskazywało, nie wróci już na powierzchnię. Popłynie tak głęboko, jak to tylko będzie możliwe, choćby nawet na tysiąc metrów, poczeka, aż zapas cieczy w zbiorniku spadnie poniżej jednej czwartej i umrze. Technicznie sprawa przedstawiała się bardzo prosto. Wystarczyło odciąć dopływ helu do mieszanki. Sprężony wodór dokona reszty. Śmierć będzie łagodna. Pozostanie na zawsze w świecie wielkich ciśnień, wiecznej ciszy i mrocznych ciemności. Idea samozagłady tak go zahipnotyzowała, że zaczął odpinać pasy nośne, aby sięgnąć do zaworów. Spokojnie, spokojnie - ledwie się powstrzymał. - Jeszcze nie teraz. Najpierw zostanę pierwszym człowiekiem, który zobaczy Twór innej cywilizacji, a potem dopiero przypłacę to życiem. A więc na dół! Tak prędko, jak tylko ból w uszach pozwoli. Na stu metrach zapalił reflektor. Na zewnątrz gwiazda dzienna zbliżała się do horyzontu i niedługo znowu miała zapaść krótkotrwała tutejszą noc.

Wyciągnął flarę, zapalił i rzucił przed siebie. Opadała, rozsiewając wokół potoki żółtawego blasku.

Wtedy po raz pierwszy zobaczył TO.

Ciekawe, że w tym samym czasie, sto trzydzieści metrów wyżej podobne refleksje męczyły kapitana.

Posłał na zagładę jedyne go człowieka, którego jeszcze trochę lubił i nie odczuwał żadnych wyrzutów sumienia. Wiedział, że jeszcze dzień, może dwa, a nienawidziłby go tak samo jak tych gówniarzy.

Zachowa przynajmniej jakieś pozytywne wspomnienia.

Z głębi kabiny doszedł go głos Eli:

- Zgubiłam echo przy dnie.

Sonar pozwalał na śledzenie w wodnych przestworzach nawet tak drobnego przedmiotu jak człowiek, ale teraz sygnał zgubił się przy potężnym wrzecieniu obcego statku. Pozostało tylko czekać. I czekali długo.

Był ogromny. Oczywiście wiedział o tym, zanim zanurzył się w wodnej otchłani. Co innego jednak zobaczyć to na własne oczy. W tej chwili oglądał tylko część dwustumetrowego kadłuba. Jego wytwórcy nie dbali chyba o estetykę, tylko o funkcjonalność. Zresztą,

mogli mieć inne pojęcie piękna. Cały czas miał jednak wrażenie, że nie patrzy na niego po raz pierwszy.

Wszystko wydawało mu się dziwnie znajome. Być może produkty techniki w całym wszechświecie wyglądają podobnie, ponieważ budowane są na podstawie tych samych praw fizyki. W świetle reflektora wyraźnie widać było ślady gwałtownego przelotu przez atmosferę. Pomiedzy dziurami w poszyciu i płatami sadzy przeświecały resztki jakichś symboli, naniesione czerwonym kolorem na szarawe tło. Czyżby nazwa? W takim razie ich psychika przypominałaby ludzką. A może byli po prostu dumni z wytworu swoich macek i umysłów?

Powoli przesuwiał się wzdłuż tego kosmicznego przybysza. Po dwudziestu metrach dotarł do płytkiego zakłębnięcia w bryle tworzywa. Otoczone było jakby ramą,

z mnóstwem przycisków i manipulatorów. Wgłębienie wypełniała metalowa płyta z podłużną rysą w środku.

Miejsce to z całą mocą narzucało się jako analogia śluzy. Jeżeli tak było, to w tej chwili była ona zamknięta. Podpłynął bliżej. Do tej pory sądził, że jest doskonale ignorowany. W tej chwili przekonał się, że nie była to prawda. Oto, zamknięte drzwi zaczęły się rozchyłać, wypuszczając emanującą z wewnątrz delikatną zielonkawą poświatę, jakby zapraszającą do wnętrza. Bliżej, bliżej!

Wtem zamarł jak sparaliżowany. Śluzę otaczały różne urządzenia, a każde z nich było podpisane.

Również nazwa statku, zatarta na poszyciu, została tu powtórzona. Napisy wykonano z wypukłych,

metalowych elementów, dlatego też zachowały się w doskonałym stanie. Litery alfabetu układały się w słowa tworzące język przybyszów. Nie to było jednak przyczyną fal zimna i gorąca przechodzących przez ciało Fidyka. On ten język znał!

Godziny upływały w atmosferze napiętego oczekiwania. Gdy nowy poranek rozlał się krwistą

czerwienią po powierzchni wody (według zegara pokładowego dochodziła północ), ciszę przerwał głos Piotрка, aktualnie dyżurującego przy Kujonie.

- Jest! Idzie z powrotem!

Wszyscy poderwali się podnieceni. Nawet w obliczu fiaska misji ostatniej szansy, ciekawi byli relacji pierwszego świadka obcej inteligencji.

- Zaraz! To nie on!

- Jak to nie on?!- Borys karkołomnym susem pokonał całą zejściówkę. - Pokaż!

Przez monitor i głośniki płynęła czysta zgroza. Dwa,

trzy, pięć, dziesięć ech! Wszystkie większe od człowieka, rwały ostro do góry.

- Jezus, Maria!- zdołał wyjąkać. - Jak Oni mogą tak bez dekompresji? Przecież ich rozerwie.

Przez głowę przelatywało mu tysiące myśli. Mózg błyskawicznie tworzył setki hipotez i podsuwał je,

jedną bardziej nieprawdopodobną od drugiej. W końcu wszystkie skoncentrowały się wokół jednej. Tomasz poruszył gniazdo szerszeni i sam pierwszy padł ich ofiarą. Rzucił się do silnika.

- Stawiajcie genuę i grota! Piotrek, ciąć linę!

Szybko! Zwiewamy!

Na próżno załoga zwijała się jak w ukropie. Zanim diesel zaskoczył, zanim poruszył śrubę, zanim złożono „pajaka”, zanim żagle wpełzły do góry i wypełniły się lekkim wiatrem, zanim wreszcie nabrali prędkości,

musiały upłynąć minuty. Nie mieli aż tyle czasu.

Dokładnie w dwadzieścia sekund od ogłoszenia alarmu,

po obu burtach wystrzeliły do góry potężne słupy wody.

Z piekielnym wyciem, w rozbryzgach piany,

pojazdy i kierujące nimi, ubrane w dziwaczne kombinezony istoty lądowały z powrotem na wodzie.

Otaczały „Stellar Gale” ze wszystkich stron. W desperackim odruchu Nawrocki zakręcił kołem sterowym, z równoczesnym przesunięciem do oporu manetki gazu, w zamiarze staranowania jednego z napastników. Ten jednak zręcznie uchylił się. Kiedy rozpędzający się wreszcie jacht przepływał obok niego,

wrzucił na pokład stożkowaty pojemnik. Taki sam pojemnik szerokim łukiem nadleciał z drugiej strony. Z obu buchnęły kłęby gazu. Wszyscy zwalili się na pokład, jak ścięci kosą. Zanim jeszcze stracił przytomność, kapitan zdążył się zadziwić. Spodziewał się od obcej załogi wszystkiego. Ale nie tego, że ich skutery będą nosiły dumne napisy „BOËHA”!

Jego znajomość rosyjskiego pozostawiała wiele do życzenia. W szkole uczył się go bardziej ze snobizmu,

niż rzeczywistej potrzeby. Później zaś, nie miał zbyt wielu okazji do doskonalenia swoich umiejętności.

Teraz powoli odczytywał tekst. „BXOÄ ” to było proste. Wyżej widniała nazwa. „BOËHA CÖÄÄÚ ”.

„Fala Losu”! Bez sensu, ale za to jak dobrze brzmi!

Ten, kto ją wymyślił, od razu stał się bliski Fidykowi,

który własną łódkę, stacjonującą w Gdańsku, nazwał „Kontaminacja”. Niewielu wiedziało, co to znaczy. ,

Coś tu się jednak nie zgadzało. Kto by pomyślał, że Rosjanie, z ich rowerową techniką, budując pojazdy prujące czasoprzestrzeń, kiedy ich, wspólna z Amerykanami, wyprawa na Marsa od lat nie mogła dojść do skutku. Nad romantyzm podróży międzyplanetarnych masy przekładały chleb i telewizyjne igrzyska. Czasy Gagarina i Leonowa jakoś nie mogły doczekać się kontynuacji. Teorię, że ich przygody nie były związane z zatopionym cylindrem,

Tomasz jednak zdecydowanie odrzucił. Tajemnicze pojawienie się „Fali Losu” i niesamowite zdarzenia miotające „Stellar Gale” były zbyt skorelowane w czasie i przestrzeni, aby uznać to za zwykły przypadek.

Skoro jednak rzeczywistość wyglądała inaczej, nie można było oczekiwać niczego dobrego.

Doświadczenia tego rodzaju musiały być tak tajne, że wszelkich świadków należało zapewne likwidować na miejscu. Z drugiej jednak strony, ich położenie nie mogło już być gorsze, a Fidyk nie po to, jeszcze przed pięcioma minutami, przygotowywał swoje samobójstwo, aby teraz zawahać się przed podjęciem wyzwania. Niewielkim optymizmem napawał go fakt braku jakiegokolwiek odzewu na próby nawiązania łączności. Ktokolwiek był we wnętrzu, nie życzył sobie chyba odwiedzin, ale nie chciał też zapewne ich szkody.

Teraz, skoro otworzył drzwi, zapraszał go pewnie do środka. Tomasz przepłynął przez otwarte wrota śluzy.

Od razu odkrył swój błąd. Gości pozdrawiała flaga i stosowny napis, ale nie była to trójkolorowa flaga Federacji! Wchodzących witał symbol kuli ziemskiej otoczonej złotymi kłosami pszenicy, z czerwonymi sierpem i młotem skrzyżowanymi na pierwszym planie;

Godło nieistniejącego od ćwierć wieku Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich!

Ten herb powinien być również widoczny na zewnątrz, ale zapewne podekscytowany Tomasz musiał go przeoczyć w niepewnym świetle reflektorów. W czasie, gdy wrota zewnętrzne powolutku zsuwały się,

odczytał przesłanie zawarte na ścianie tego niewielkiego pomieszczenia. „БЎ ТЕИІЕРb HA TEPPČTOPČČ COŦ3A COÖHAJIČCTČ×ECEČX COBETCKČX PECĎÓÁĚČE,,. Zdanie to potwierdzała czerwona bandera wymalowana poniżej. Wszystko jest nie tak - pomyślał. - Cokolwiek sobie wymyśliłem,

byłem w błędzie. Byłem przekonany, że jesteśmy na płaskim świecie i nie było to prawdą. Myślałem, że jesteśmy ha drugim krańcu Galaktyki, a to jest chyba jednak nasza stara, no raczej młoda, Ziemia. Marzyłem o spotkaniu z obcą inteligencją, a okazali się ludźmi. I wreszcie ich narodowość też określiłem błędnie.

Wtem Fidyk zorientował się, że pion nagle odchylił swój kierunek o trzydzieści stopni. O mało nie zwymiotował. Co jest z moim błędnikiem? - Ale to nie

MASZTY NOCĄ NIE MUSKAJĄ...

błędnik był za to odpowiedzialny. - Opanowali grawitację? Proszę, proszę. - Woda opadała szybko. Za szybko. Złapało go gwałtowne klucie w piersiach. Rzut oka na głębokościomierz pokazał mu, dlaczego.

Ciśnienie gwałtownie spadało. A więc jednak umrę. Co do ich intencji, również się pomyliłem. Dlaczego czekali tak długo? I dlaczego w taki sposób? -

Potworny ból rozprzestrzenił się na całe ciało. Przed oczami latały mroczki. Osuwał się po ścianie, w miarę jak ubywało wody. Ledwie zdążał wypuszczać z płuc nadmiar powietrza, aby zapobiec barotraumie.

Próbował coś powiedzieć, ale efekt Kaczora Donalda zamieniał jego słowa w niezrozumiałą bełkot. Przez nos i usta płynęła fala krwi. - Brudzę podłogę w barwy państwowe. - W suchym już pomieszczeniu pytająco zaszczekał jakiś głos. Czyżby głośnik? Mówił po rosyjsku, ale konający już go nie rozumiał. Nic już nie widział przez wszechogarniającą czerń. Resztkami sił zdołał coś wyksztusić. Jego głos brzmiał wreszcie zrozumiale.

- *Dawlenije...* - Słowo to oznaczało ciśnienie, ale nie był pewien czy używa tego we właściwym znaczeniu. -

Bolezn'...

Poczuł na twarzy podmuch ciepła. Być może otworzyły się drzwi wewnętrzne. Chyba jeszcze usłyszał głos wołający: „*Wracz!*”, ale nie był już tego pewien. Była to ostatnia informacja ze świata zewnętrznego. Potem niedotleniony mózg przestał odbierać cokolwiek. Już tylko ciemność. I cisza.

Świadomość własnego istnienia powróciła pierwsza.

Jestem. Jestem? Myślę, więc jestem. *Cogito, ergo zoom.* Myślę, więc jezdem. Żyję, czy umarłem? Dostyc tych bzdur. Chyba jeszcze żyję. - Nagły lęk przejechał po umyśle lepkimi paluchami. A jeżeli śmierć jest właśnie tym? Wiecznym, nieprzerwanym medytowaniem? W takim razie zbyt szybko się śpieszyłem z umieraniem. Ale to przecież niemożliwe! Ratunku! -

W ułamku sekundy uspokoił rozdygotane nerwy.

Gwałtowny przypływ spokoju nie został bynajmniej spowodowany jakąś nadzwyczajną samokontrolą.

Tomaszowi wydawało się, że usłyszał dźwięk. No nie.

Nic, co dawałoby się jednoznacznie zidentyfikować. Po prostu drgnięcie powietrza o częstotliwości pozwalającej bębenkom na reakcję. A może kolejny wytwór chorego, czy umierającego mózgu? Ale nie.

Tomasz wyraźnie poczuł swoje ciało. Ów szczególny zmysł, kinestezja, z którego istnienia normalnie nie zdajemy sobie sprawy, teraz dawał znać o sobie. Nie był to ból. Raczej znajome wrażenie wypełnienia przez mięśnie i ścięgna. Zaprzagnął poruszyć ręką. Rozkazy pobiegły po włóknach nerwowych, szukając swojego miejsca przeznaczenia. I zostały wykonane! Z powrotem pomknęły informacje o warunkach zewnętrznych, napotkanych przez kończynę. Najpierw opór. Potem odczucie ciepła. Wreszcie faktura materiału. Przypominała prześcieradło. Gwałtownie otworzył oczy. Z początku nie widział nic. Po kilku jednak sekundach nerw wzrokowy został uaktywniony.

Do oczu potężną masą wdarł się kalejdoskop barw.

Kolejne sekundy zabrała interpretacja zalewających źrenice fal fotonów. Wreszcie widział. Pierwsze, co rzucało się w oczy, to cały wielki blok jakiejś aparatury, zapewne medycznej, zawieszony nad jego głową.

Zgodnie z oczekiwaniami, napisy, określające poszczególne funkcje tej maszyny, naniesione zostały po rosyjsku, ale, nowa zagadka, zdublowane były przez swoje odpowiedniki w języku niemieckim! Coraz mniej z tego wszystkiego rozumiał. Dodatkową niespodziankę stanowił fakt, że sprzęt ten nie wyglądał szczególnie nowoczesnie, co nieprzyjemnie kontrastowało z poznanymi już możliwościami „Fali Losu”, jako całości. Reszta otoczenia nie stawiała takich wyzwań jego skolatanej i wciąż bolącej głowie. Dodatkowo za każdym oddechem czuł jeszcze kłujący ból w klatce piersiowej. Pomieszczenie wyglądało na typowy pokój szpitalny. Jego projektanci wstawili nawet okno z widokiem na fragment jakiegoś wybrzeża morskiego.

Oprócz Fidyka wokół nie widać było żadnej żywej istoty. Stan ten nie trwał jednak długo. Widoczne naprzeciw łóżka drzwi otworzyły się. Do środka weszła... Murzynka. Tak, czarna Murzynka. -Pokłady dziwienia się już dawno miał wyczerpane. Przez głowę przeleciał mu tylko stary dowcip o kelnerze, Murzynie,

podającym pizzę w chińskiej restauracji,

odpowiadającym zdziwionemu tym zestawem klientowi: „Pizza jest co prawda w chińskiej restauracji,

ale za to w żydowskiej dzielnicy”. Ta tutaj nie wyglądała na kelnerkę. Jeszcze mniej na kelnera.

Ledwie rzuciła na niego okiem, obejrzała się w kierunku wejścia i zawołała. W jednej chwili w drzwiach zaroilo się od interesantów. Po Murzynce wpadło do środka dwóch takich zbirów, że reżyser,

najgorszych nawet, horrorów zawahałby się przed ich angażem. Jeden był chyba Białym, drugi zaś Azjata.

Zza lustrzanych przyłbic widać było tylko wąskie, zaciśnięte usta. Ilość, bojowego zapewne, sprzętu, jakim byli obwieszeni, wskazywała chyba na chęć prowadzenia wojny z Marsjanami. Godni następcy Specnazu. Lufy paskudnie wyglądających spluw wymierzili prosto w Tomasza.

Za nimi pojawił się grubawy mężczyzna około pięćdziesiątki oraz niesłychanie znajomo wyglądający Mulat. Obaj,

Znajomy Mulat i Grubawy, nieśli ze sobą przedmioty,

które rozpoznał, jako części swojego nurkowego wyposażenia, oraz zdjęcia i dokumenty, które zabrał ze sobą, aby pomóc sobie w nawiązywaniu kontaktu z obcą cywilizacją. Obca cywilizacja, niech ich cholera weźmie! Wtem w rękach Grubawego dostrzegł coś, co napełniło go przerażeniem. Grubawy miał ze sobą paszporty załogi i patent flagowy „Stellar Gale”! Przez sekundę chciał zapytać co się stało z pozostałymi, ale w porę przypomniał sobie, że nie on jest tutaj panem położenia. Więcej chyba dowie się, milcząc i czekając na pytania. Czasami pytanie niesie ze sobą więcej informacji, niż odpowiedź. Murzynka, pełniąca

najwyraźniej funkcję pielęgniarki uruchomiła jakiś mechanizm z tyłu łóżka. Poczul jak legowisko powoli się prostuje. Już nie leżał, tylko siedział jak w fotelu.

Znajomy Mulat i Grubawy zasiedli przy niewielkim stoliku, rozkładając na nim przyniesiony z sobą dobytek. Pierwszy odezwał się Znajomy Mulat. Aby dopełnić oszołomienia Tomasza, mówił w czystej, bez śladu akcentu, polszczyźnie.

- Ładnie, ładnie. Nazwa jachtu angielska, bandera białoruska, załoga polska, paszporty jakiegoś nieistniejącego państwa, wyposażenie pewnie szpiegowskie, a wy chcieliście się w dodatku pode mnie podszyć!? Pode mnie!? Majora KGB Tomasza Fidyka!?

Nawet jesteście podobni - stwierdził łaskawie - ale wasi amerykańscy mocodawcy chyba coś pomylili przy kolorze skóry. A może nie macie już żadnych lojalnych Murzynów? Pewnie, skąd mielibyście ich brać! Coście chcieli osiągnąć tą waszą niewiarygodnie naiwną intrygą!? Przysięgam, że powiecie wszystko, co wiecie,

a także wiele z tego, co nie wiecie!

Teraz Tomasz przypomniał sobie, skąd zna tę twarz.

To było jego własne oblicze! Znajomy Mulat, który przedstawił się jako major, podobny był do niego jak brat! Tego już było za wiele. Osłabiony ostatnimi przejściami organizm nie wytrzymał takich wzruszeń.

Zemdlał.

Gdy po raz drugi odzyskał przytomność, sceneria uległa tylko niewielkim zmianom. Zniknęły uzbrojone po zęby bandziory, za to obok Grubawego siedział teraz Siwawy. Przy tych dwóch zaś, stała absolutnie przeciętna kobieta w średnim wieku. Nigdzie też nie mógł dojrzeć swojego agresywnego imiennika. Tym razem pierwsza odezwała się kobieta. Znowu po polsku.

- Nazywam się Wanda Sępulska. Czy rozumiecie co mówię? - Fidyk wolno pokiwał głową. - Czy mówicie po rosyjsku?

Po raz pierwszy od wypadku Tomasz otworzył usta:

- Bardzo słabo - wyszeptał.

- W takim razie będę tłumaczyć. Pułkownik Miszurin - tu wskazała na Grubawego - chciałby was przeprosić za zachowanie majora Fidyka. Wzburzyło go wasze podobieństwo do niego i te dokumenty. -

Pokazała paszporty leżące ciągle na stoliku. Teraz dostrzegł, że mają również jego patent. - Testy genetyczne wykazały, że rzeczywiście jesteście spokrewnieni w znacznym stopniu. Jak przyrodni bracia. Chcielibyśmy również prosić was o wyrozumiałość w kwestii waszej choroby ciśnieniowej.

Doktor Onyana powiedziała, że nie używaliście hydropeksu. Stąd wasza niedyspozycja. Nasi nurkowie nie potrzebują dekompresji. Czy możecie wytłumaczyć wasze pochodzenie, a także jak się tutaj znaleźliście?

Rodzeństwo przyrodnie? Mulat? I to identyczne imię i nazwisko?! Myśli galopowały jak stado oszalałych rumaków, do reszty rozgniatając swoimi kopytami zdefasonowaną korę mózgową Fidyka.

Czyżby jego stary zadawał się z jakąś Murzynką? Ale przecież Tomasz coś by o tym musiał wiedzieć! Z kolei słowa o chorobie dekompresyjnej brzmiały wiarygodnie. Gaz w organizmie nie wyzwał się bowiem, nawet w wypadku dużych zmian ciśnienia, w przypadku, gdy go w ogóle nie było. Wspomniani przez Sępulską osobnicy musieli zatem oddychać... ciecżą.

Teoretycznie było to możliwe. Zanim jednak przesłuchiwany zdążył sformułować jakąkolwiek sensowną odpowiedź, do środka pomieszczenia wpadł nagle Zbir nad Zbirami. To wszystko, co było już powiedziane na temat anty-Marsjan, należałoby zmultiplikować do potęgi co najmniej szesnastej, aby otrzymać wizerunek nowego przybysza. Wzrostu, jak się wydawało Fidykowi, prawie trzymetrowego i odpowiedniej szerokości w barach, ważył przybysz chyba ze sto trzydzieści kilo. Jego fizjonomię, bo oblicze to nie zasługiwało na szlachetne miano twarzy,

można było wykorzystać jako obronę przed bandą pijanych meneli. Rozpierzchliby się w popłochu na sam widok. Człowiek ów, a można było tak twierdzić,

ponieważ przyjmował wyprostowaną, dwunożną postawę, szybko coś perorował Miszurinowi i Siwawemu. Zaintrygowana tłumaczka spojrzała w ich kierunku. Na gniewne warknięcie pułkownika odwróciła się z powrotem, zawieszając pytające spojrzenie na twarzy Fidyka.

- Zanim cokolwiek powiem, chcę wiedzieć, co stało się z resztą naszej załogi? - Nie chciał od tego warunku odstąpić.

Przynajmniej dopóki nie zastosują środków przymusu bezpośredniego. Ku jego zdziwieniu Miszurin jednak odpowiedział.

- Nic im nie jest - tłumaczyła Sępulską. - Nie było żadnych ofiar. Uśpili ich tylko. Niedługo zdecydujemy co z tym dalej zrobić. No, teraz wasza kolej.

Nie było rady. Opowiadając całą historię, usilnie starał się zrozumieć, co się dzieje. Związek Radziecki przestał istnieć już ćwierć wieku temu. Sam Tomasz miał wtedy jedenaście lat. Mało co pamiętał z tamtych czasów. Wiedział jednak, że służby tajne padłego imperium z nadmiernej elegancji i delikatności nie sływały. Dlaczego więc traktowali go jak zgniłe jajo?

Nawet przepraszała. Czy była to tylko gra w złego i dobrego czekistę? I skąd tu się w ogóle wzięła? Fidyk odniósł wrażenie, że są Obecnością „Stellar Gale”

z dumą i zaskoczeniem nie mniej, niż on sam istnieniem „Fali Losu”. Jeżeli, jak twierdziła Renata, znajdowali się w kambrze, czy też nawet w ryfeju, ponieważ ten wariant również brali pod uwagę, wtedy teoretycznie istniała możliwość spotkania się czasowych podróżników z różnych epok. Ale jak?! Na takie zabawy poziom techniki nie pozwalał nawet w jego czasach i jeszcze długo nie, a co dopiero w latach osiemdziesiątych ubiegłego stulecia, kiedy Związek wydawał z siebie ostatnie podrygi. Jeżeli zaś przebyli lata świetlne pustki międzygwiazdowej przez jakiś hiperprzestrzenny tunel, co było teoretycznie

MASZTY NOCĄ NIE MUSKAJĄ...

dopuszczalne, to wtedy... Tu ciąg przypuszczeń urywał się. Do niczego nie przystawał Znajomy Mulat (Major Fidyk!?). Gdyby rzeczywiście byli przyrodni braćmi,

ich wiek nie mógł być bardzo różny. Z dotychczasowych obserwacji wynikało, że są wręcz rówieśnikami. W takim razie rok, który zabrała ze sobą w podróż „Fala Losu” nie mógł zbytnio odbiegać od tego, który widniał na zegarach „Stellar Gale”.

Wszystko to prowadziło do sprzeczności logicznych.

Podjeżdżanie załogi zatopionego walca o jakąś monstrualną mistyfikację runęło z powodu braku motywu. Czyżby więc...? Wydawało się to niemożliwe,

ale zbyt wiele niemożliwych zdarzeń spotkało ich ostatnio, aby wyłaniająca się hipoteza, pasująca w dodatku do wszystkich elementów tej upornej układanki, mogła być wykluczona. Swoje zeznanie zakończył więc słowami:

- Pewnie wyda wam się to absurdalne i niewiarygodne, ale mam wrażenie, że NIE PRZYBYLIŚMY TU I TERAZ Z TEGO SAMEGO ŚWIATA!

Liczył na wywołanie piorunującego efektu, ale spotkało go rozczarowanie. Na obecnych, jego oświadczenie nie zrobiło wielkiego wrażenia. Chyba spodziewali się czegoś podobnego. Jego historię potraktowali jako potwierdzenie swoich własnych teorii. Wynikało to zapewne z faktu, że przesłuchujący mieli większe od Tomasza pojęcie o naturze sił, z którymi przyszło im igrzać. Siwawy pokiwał wolno głową.

- Wszystko na to wskazuje, towarzyszu. Nie sądziliśmy, że jest to w ogóle możliwe. Jednak mówicie chyba prawdę. Wszystko zdaje się to potwierdzać. >

Mówiąc to, skinął głową w stronę drzwi, w których zniknął niedawno Zbir nad Zbirami. Fidyk zrozumiał,

że potwór złożył właśnie meldunek na temat znalezisk na jachcie.

- Skoro to wyście nas w to wszystko wpakowali, to powinniście nas odstawić z powrotem - wyniszczył wreszcie główny powód swojego tutaj przybycia.

Siwawy znowu potakiwał.

- Tak by wypadało, ale jest pewna przeszkoda.

- Nie wiecie jak trafić z powrotem do naszej rzeczywistości - stwierdził raczej, niż zapytał Tomasz,

W jego głosie pobrzmiwała rozpacz.

- To też. Ale to jest zagadnienie do rozwiązania.

Prawdziwy problem tkwi w tym, że nie możemy również wrócić do nas. Zostaniemy już tutaj. Na zawsze. A więc wy również.

Cios był tym celniejszy, że niespodziewany.

Powszechny stereotyp maszynowni to ciemność,

upał, potworny hałas, kilometry poplątanych rur, lejąca się gdzieś woda. Maszynownia „Fali Losu” była doskonałą negacją tej tradycji. Obszerny, ale schludny pokój wyglądał jak poczekalnia u dentysty. Jediną rzeczą nie pasującą do tego obrazu była aparatura zajmująca jedną ścianę. Fidykowi nieodparcie przypominała stare komputery typu „Odra” wystawione w warszawskim Muzeum Techniki ku potomnych zadziwieniu. Stojący obok Borys widocznie miał te same skojarzenia, bo aż złapał się za głowę. Nie było łatwo im tu dotrzeć. Tradycyjna radziecka obsesja tajności obowiązywała również tutaj. Wreszcie sprawa oparła się o samego komendanta. Komandor Lena Juanowna Cortez stwierdziła w końcu, że nic już nie może im zaszkodzić. Jej dziwaczne nazwisko nie było przypadkowe. Komandor urodziła się w Toledo.

Związek bowiem, przynajmniej według gospodarzy, nie tylko nie rozsypał się w początku lat pięćdziesiątych, ale rozszerzył swoje władanie na całą Europę, Afrykę i znaczną część Azji. Przyczyny takiego stanu rzeczy nie były jeszcze dla Fidyka jasne.

Orientował się na razie, że rozszczepienie historii miało miejsce trzydzieści lat przed jego urodzeniem. Wobec jednak bieżących kłopotów odłożył indagacje na chwilę sposobniejszą. Światy równoległe! Marzenie całych pokoleń fantastów i co śmielszych fizyków materializowało się teraz na jego oczach. A więc rację miał Everett, a jego krytycy byli w błędzie! Każdy akt pomiaru, każdej wartości kwantowej rozszczepia Uniwersum na dwóch, lub więcej potomków! Jak stwierdził profesor Rudniew, Siwawy, w rzeczywistości, czy też raczej w „hiperrzeczywistości”,

światów jest nieskończenie wiele, ale bezpośrednie „Przejścia” mogły odbywać się wyłącznie między rzeczywistościami o minimalnych różnicach. Niestety,

również dla niego były do tej pory jedynie teorie.

Wyjaśnił, że napędu „tunelowego”, cokolwiek by to miało oznaczać, używano do tej pory wyłącznie do otwierania swoistych „wrót”, czy też „tuneli” w przestrzeni łączących dwa różne obszary tego samego kosmosu. W wyniku awarii komputera sterującego całym procesem, której przyczyny nie chciano gościom ujawnić, „Fala Losu” została przez rozszalałe, bez wszelkiej kontroli, ferony, czyli jak można było przypuszczać z pobieżnego opisu, cząstki Higgsa,

ciśnięta jak zabawka, przez liczne rzeczywistości, aż do tego szczególnego miejsca. Była to oczywiście również Ziemia, ale nie taka, jaka była kiedyś, w wendzie, czy w kambrze, ale taka jaka mogłaby być. Jedna z nieskończonej liczby możliwości. Pchając przed sobą potężne, zakrzywiające czas i przestrzeń hiperpole,

„Fala Losu” porwała ze sobą nieszczęsnego „Stellar Gale”, kiedy na krótko przeniknęła do jego świata.

Mieli po prostu pecha, stając na drodze sił, których oddziaływanie można by tylko porównać z mocami istniejącymi podczas wielkiego wybuchu. Rozumiał teraz zagadkowe milczenie rozbitków. Po prostu w chaosie pierwszych godzin po katastrofie, nikomu nie przyszło nawet do głowy, że ktoś może chcieć się z nimi skontaktować. Wszystko to było dziwne samo przez się, ale prawdziwą zagadkę stanowiło zachowanie się radzieckich dowódców. Poza poirytowanym majorem Fidykiem, wszyscy oni byli zaskakująco uprzejmi. Kompletnie nie pasowało to, do znanych

Tomaszowi z historii, radzieckich standardów, kiedy to każdy inostraniec był uważany za potencjalnego szpiega i dywersanta. Cóż więc dopiero obcoświatowiec! Ku wielkiemu zaskoczeniu Tomasza,

komandor Cortez zgodziła się nawet na sprowadzenie z powierzchni reszty załogi „Stellar Gale”. Musieli na nich poczekać, ponieważ tylko Nawrocki odważnie użył hydropeksu. Pozostali przechodzili w służbie dekompresję, a to trwało i trwało. Niespodziewanie wyłoniła się szansa. Komputer, jak to zauważył z ogromnym zaskoczeniem Fidyk, był dosyć prymitywny. Po namyśle uznał jednak, że nic w tym dziwnego. Rosjanie nigdy nie słyneeli z miniaturyzacji.

Jak zdążył się już zorientować cała nowoczesną elektronikę produkowano w Niemczech, czy raczej w Niemieckiej Socjalistycznej Republice Radzieckiej.

Inna sprawa, że ta nowoczesność odpowiadała połowie lat dziewięćdziesiątych w jego świecie.

- Mówiłem już, że mózg jest całkowicie zniszczony.

Nic już z tym nie można zrobić - zakomunikował Hansjakob Genscher, pełniący tutaj funkcję głównego specja od komputerów czy, jak oni to nazywali, kalkulatorów.

- Nie macie systemów awaryjnych? - zdziwił się, ale za to po niemiecku, Fidyk. Borys zawzięcie buszował w bebechach maszynarii.

- Jest jeden zapasowy i drugi awaryjny.
- No więc?
- To jest właśnie awaryjny. Z pozostałych zostały tylko jakieś śmieci.
- Interesujące. Co się właściwie tu stało?

Genscher już otwierał usta, ale zamilkł zgromiony wściekłym spojrzeniem Fidyka Drugiego. Ta niechęć do udzielania jakiejkolwiek informacji, niewątpliwie nakazana przez naczalstwo, stawała się irytująca. Mimo przyjaznych gestów, Cortez z Miszurinem, jak na prawdziwych radzieckich decydentów przystało, nadal im nie ufali. Fidyk zastanawiał się, dlaczego obliczeń koniecznych w nawigacji nie dokonywała sieć komputerowa, w której awaria jednej części, nie przesądzała jeszcze o dysfunkcji całości. Doszedł w końcu do wniosku, że był to przejaw tradycyjnej radzieckiej dążności do budowania Jednego Wielkiego i Największego na Świecie Ustrojstwa, zamiast większej liczby małych, niezależnie funkcjonujących elementów.

- To już złom - potwierdził słowa Hansajakoba Nawrocki. - Ale mam pewien pomysł. Powiedz mi,

czy...

Pograżyli się w technicznym żargonie, całkowicie dla Tomasza niezrozumiałym. Trudności mieli z ustaleniem nazewnictwa. To co dla Borysa było procesorem czy sterownikiem, Genscher nazywał terminami zaczerpniętymi z fizjologii. Przypominało to naukę obcego języka. Genscher wyciągał jakąś część,

nazywał ją i opisywał jej działanie. Nawrocki na karteczce dopisywał swoją wersję nazwy i czynności przez to ustrójstwo wykonywanej. Karteczki z opisami przyklejali do różnych elementów zniszczonego urządzenia. Dla kogoś z zewnątrz wyglądało to jak układanie tapety. Znużony Fidyk z nadzieją spojrział na wchodzącego Wasilija Władymirowicza Miszurina.

- Profesor chciałby się z wami zobaczyć. Chodźmy do jego gabinetu.

Od razu zorientował się, że chodzi o coś poważnego.

Na miejscu oprócz Rudniewa i Sepulskiej oczekiwała również Lena Juanowna i Zbir nad Zbirami, czyli kapitan Leclerc. Pułkownik starannie zamknął za nimi drzwi i uruchomił jakąś skomplikowaną aparaturę,

zapewne antypodsłuchową.

- Winniśmy wam pewne wyjaśnienia - bez wstępów zaczęła Cortez.

Miała tak wyraźną dykcję, że pomoc tłumaczki nie była właściwie potrzebna.

- Spójrzcie na to.

Na biurku profesora rozłożono olbrzymią płachtę papieru. Była to mapa polityczna świata. Ich świata.

Robiła wrażenie, nawet jeżeli była sfalszowana.

Tomaszowi ciągle nie mieściło się w głowie, że Związek mógł panować nad tak znacznymi obszarami planety, utrzymując swoje imperium nie tylko siłą oręża i potęgą terroru. Sama struktura tego państwa,

przynajmniej w jego wersji historii, nie pozwalała na rozwój czy to technologiczny, a przecież na pokładzie dowodu na jego istnienie się znajdował, czy też nawet terytorialny. Dławienie wszelkiej aktywności obywateli, totalna inwigilacja i wszechwładza skorumpowanego aparatu partyjnego nie sprzyjały bynajmniej jakimkolwiek innowacjom. Zresztą, nawet podbicie sposobem militarnym tak znacznych terenów nie było wykonalne bez światowego konfliktu nuklearnego. To zaś czyniło zdobycze bezwartościowymi. Kto chciałby władać radioaktywną pustynią? Tymczasem na mapie czerwona obwódka obejmowała całą Europę, Afrykę, Bliski i Środkowy Wschód, aż po Tajlandię. Ponadto Mongolię, Syberię i rosyjski Daleki Wschód z Władywostokiem. Reszta świata podzielona była na dwie nierówne części.

Zupełnie jak u Orwella - przemknęło mu przez głowę.

Azja dalekowschodnia zrzeszona była w jakąś nową wersję „Państwa Środka”. Obie Ameryki i Australia z Oceanią zaś... To było niezwykle. Wyraźnie zaznaczone były tylko Stany, tworzące jedno państwo wraz z Kanadą. Reszta była pokryta ukośnymi białoniebieskimi pasami. W ten sposób na mapach średniowiecza zaznaczano państwa lenne. Ale na tej mapie?

- Co to ma znaczyć? - Pokazał interesujący go fragment.

- To jest GTO. Global Treaty Organisation. Państwa formalnie niezależne, ale faktycznie całkowicie podporządkowane Stanom Zjednoczonym. Podatki tam płacone wpływają do skarbcza w Waszyngtonie, a oni sami nie mają żadnego wpływu na ich wydatkowanie.

Zauważył, że przejęło to wszystkich obecnym wyraźnym wstrętem. Nic o walce klas? Nic o kapitalistycznym wyzysku i imperialistycznym ucisku?

Od kiedy to ludzie radzieccy zajmują się analizą systemów podatkowych?

MASZTY NOCĄ NIE MUSKAJĄ...

- GTO jest obecnie głównym przeciwnikiem naszej ojczyzny - ciągnęła Cortez. - W ciągu ostatnich trzydziestu lat powoli przegrywali wyścig technologiczny. Gdy zrozumieli, że czeka ich klęska,

poszli na całość. W polityce wewnętrznej dokonano ostrych przesunięć. Zbudowali system prawie feudalny.

Pozycja człowieka zależy wyłącznie od urodzenia.

Prawa mają wyłącznie WASP, biali anglosascy protestanci. Wszyscy inni są im podporządkowani, od katolików i Żydów poczynając, na Murzynach i Indianach kończąc. Terror jest wszechobecny. W polityce zagranicznej zaś...

W tym miejscu Fidyk przerwał gwałtownie.

- No zaraz! A reszta tego GTO? Przecież te kraje Ameryki Łacińskiej są zamieszkane w większości przez katolików! Co wy mnie tu próbujecie indoktrynować?!

I ja mam w to uwierzyć?!

Tym razem odezwał się Rudniew. Za pośrednictwem Sępulskiej.

- To proste. GTO nie jest politycznym monolitem.

Brazylia, czy Argentyna nie zostały do Stanów wcielone, tylko im podporządkowane. GTO jest sojuszem rządów, przekonanych, że najlepiej wiedzą,

co dla ludzi najlepsze. Zasada jest prosta: *cuius regio,*

eius religio. Myślę, że najlepiej będzie was zapoznać z naszą wersją historii. Obejrzyjcie sobie ten film.

Potrzebujemy waszej pomocy. Naprawdę.

Posłuchał. Zresztą alternatywna wersja historii jest zawsze ciekawsza od tej, w której akurat się żyje. Nie ma w niej dobrze znanych elementów i bohaterów, a każdy zakręt torów, po których porusza się lokomotywa dziejów, jest kompletnym zaskoczeniem.

Do drugiej fazy wielkiej wojny światowej, która w obu wersjach tej historii rozpoczęła się siódmego lipca 1937 roku, nie potrafił wykryć żadnych różnic.

Pierwsze rozbieżności pojawiły się pod jej koniec.

Po stronie radzieckiej wypłynął wielki talent strategiczny i organizacyjny. Teraz wreszcie zrozumiał dlaczego tu siedział. Był to Jaków Dżugaszwili!

Najstarszy syn Stalina nie odegrał w świecie „Stellar Gale” większej roli. Zaraz na początku niemieckiej inwazji dostał się do niewoli i w niej życie zakończył.

Ten tutejszy, wojnę skończył w stopniu generała armii.

Zdołał uzyskać wielki wpływ na swojego ojca, jak również wielki autorytet w kraju i za granicą. Po śmierci Stalina bez większego oporu zajął jego miejsce.

Fidyk z narastającym zdumieniem obserwował ewolucję radzieckiego państwa. W niczym nie uszczuplając swojej władzy oraz nie tykając monumentalnej fasady, dokonał Jaków przekształcenia imperium w państwo zupełnie nowego typu.

Zlikwidował kolchozy i sowchozy. Rozdał ziemię chłopom. Dozwoił na działalność prywatnych przedsiębiorców. Wprowadził nowe, wzorowane na Kodeksie Napoleona, prawo cywilne i karne, które było sprawiedliwie egzekwowane. Równie bezwzględnie tępił wszelkie próby oporu inspirowane, jak się wydaje,

przez słabnący politycznie aparat bezpieczeństwa.

Wszystko to nazywało się „nowym NEPem”. Odegrał Jaków w imperium tę samą rolę, co w świecie Tomasza Pinochet w Chile. Kiedy najstarszy syn Stalina umierał w 1978 roku, struktury państwowe zredukowane zostały do minimum, podatki były niskie, budżet bowiem państwa radzieckiego, stanowił dziesięć procent produktu narodowego, a przynależność partyjna stała się

czysto honorowa, nadawana, niczym szlachectwo, tym nielicznym, którzy wstępowali do służby państwowej. Ćwierć wieku niewiarygodnie sprawnych i przyjaznych szaremu człowiekowi rządów wystarczyło, aby nowym sekretarzem generalnym, czy też już Sekretarzem Generalnym, został wnuk poprzednika, Iwan. Z niezłomną wolą kontynuował przez trzydzieści parę lat dzieło swego dziada. Tradycja dziedzicznej władzy została zachowana. Obecnie rządy sprawował syn Iwana, Iosif II. Po raz pierwszy w dziejach Rosji władza nie wtrącała się w jakikolwiek bądź sposób w życie poddanych. To wystarczyło do niewiarygodnego po prostu rozkwitu państwa. W większości dziedzin wyprzedzili świat Tomasza już dawno. Jedynym wyjątkiem była technika przetwarzania informacji, ale tu zawinił zapewne brak odpowiedniej tradycji. Dopiero przed paru laty udało się ją przełamać. Związek Radziecki stał się tym, czym kiedyś były Stany Zjednoczone. Z jednym wyjątkiem."

Obywatele wybierali co prawda władze samorządowe oraz lokalne i federalne Zjazdy Deputowanych Ludowych, ale na władzę wykonawczą nie mieli żadnego wpływu. Tę sprawowała niepodzielnie dynastia. Fidyk przypomniał sobie słowa Napoleona:

„Nazwa i forma rządu nie mają znaczenia! Ważne, żeby sprawiedliwość była egzekwowana!". Odwrotny proces zachodził w tym samym czasie po drugiej stronie Atlantyku. Ameryka z pozycji kraju zasobnego i demokratycznego staczała się coraz bardziej w otchłań despotii, obskurantyzmu oraz rasowego i religijnego fanatyzmu. Tam maccartyzm nie był jedynie przejściowym epizodem w historii, lecz trwale rozwinął się w system zorganizowanego terroru państwowego.

Władzę uchwyciły fanatyczne, protestanckie sekty z Południa. Upadek nauki i kultury był tego prostą konsekwencją.

Jeżeli ta wizja dziejów była prawdziwa, a Fidyk nadal miał co do tego ogromne wątpliwości, to byłby to znakomity dowód na znaczenie jednostki w historii.

Może nie było żadnych mistycznych „procesów dziejowych", a tylko zwykłe decyzje zwykłych ludzi.

Widocznie co jakiś czas świat znajduje się w takim punkcie dziejów, że niewielki impuls pozwala na pchnięcie go w którąkolwiek stronę.

- Wszystko to jest nadzwyczajne, ale czego właściwie ode mnie chcecie?

- To proste. Nasz wypadek nie był przypadkowy. To był sabotaż - śmiertelnie poważnie podsumował Miszurin.

Tomasz o mało nie parsknął śmiechem. Z literatury wiedział, że władcy Związku na „sabotaż" przywykli zrzucać nie tylko własną nieudolność, ale nawet klęski żywiołowe. Wesołość, mimo tłumiących ją wysiłków,

musiała być na jego twarzy widoczna, skoro pułkownik kontynuował.

- Nie ma w tym naprawdę nic śmiesznego. To prawda.

- No dobra. Ó co chodzi?

- GTO ciągle jeszcze jest potężne. Ostatnio zaczęli wyszukiwać i zatrudniać szczególną kategorię ludzi.

- Ludzi?

- Przestrzeńców.

- Chodzi o to - przemówił Rudniew - że są to osobnicy potrafiący, w jakiś, czysto instynktowny, sposób MANIPULOWAĆ CZASOPRZESTRZENIĄ!

Widzicie, nasza aparatura generuje pole prawdopodobieństwa feronowego, ale trzeba nim jeszcze sterować. U nas robiły to kalkulatory, zanim zostały zniszczone. Przestrzeńcy potrafią to robić czystą siłą umysłu.

- I jeden z nich, amerykański agent, przerzucił was tutaj, niszcząc przy tym ten wasz złom elektronowy. A sam co? Wyparował? I co ja mam z tym wszystkim wspólnego?

- Nie, on nie wyparował. On... zbiegł.

- Co?! - Tomasz nie wytrzymał już tego potoku bzdur. - Może odjechał na rowerze?!

- Wysłuchajcie przynajmniej do końca. Nie doceniliśmy jego możliwości. Wiedzieliśmy, że jeden z nas nie zachowuje się normalnie. Mieliśmy na niego oko. Ale gdy rozpętało się piekło i wszyscy myśleli tylko o bezpiecznym wodowaniu tutaj, on po prostu...

zniknął. Przeprowadziłem obliczenia. Jest możliwe, że otworzył sobie małe „wrota” do jednego z mijanych światów. Ale jeżeli nie wymyślili w nim jeszcze idei pola feronowego, to musiał tam zostać. Chyba że znalazł napęd tunelowy w postaci gotowej.

Przestrzeńcy wykazują swoisty tropizm. Wyczuwają, gdzie otworzy się tunel, i to z wielodniowym wyprzedzeniem.

- No dobrze, ale co ja...

- Widzę, że nadal nie rozumiecie. Nasze wszechświaty to dziesięciowymiarowe przestrzenie, z których widzimy tylko trzy wymiary przestrzenne i jeden czasowy. Pozostałe są zwinięte w niezwykle małe wartości. My po prostu rozwijamy jeden z tych zwiniętych wymiarów w wielkość odpowiadającą wielkości przedmiotu, który chcemy przemieścić, na przykład „Fali Losu”. Umieszczamy nasz pojazd w tym wymiarze, po czym z powrotem go zwijamy. I znajdujemy się już sto lat świetlnych dalej. Ten dywersant rozwinął kilka wymiarów naraz, co nigdy do tej pory nie było praktykowane. Dlatego się tutaj znaleźliśmy. Chodzi o to, że wasz jacht znajdował się w obrębie pola feronowego już osiem godzin waszego czasu przed wypadkiem. Ale nie mógł opuścić waszej rzeczywistości, dopóki pole nie osiągnęło odpowiedniego natężenia, aby zmieścić go całego w dodatkowym wymiarze. I nawet wtedy należało nim pokierować. Musiał się u was na pokładzie znajdować przestrzeniec! A ponieważ trafiliśmy w końcu w to samo miejsce, ta sama

osoba sterowała obydwoma obiektami. Nie ma innego wytłumaczenia! Zresztą zobaczcie TO! Ponownie uruchomiono projektor.

- Udało nam się częściowo odtworzyć zapis z kamer, z okresu wypadku. To jest właśnie to, co oglądał nasz dywersant. Musiało go to niezwykle interesować.

Obraz chwilę migotał, po czym ukazała się jakaś szarozielona płaszczyzna z białym punkcikiem pośrodku. Po kilku sekundach kamera wykonała „zoom” i przez płaszczyznę przebiegły białe cętki.

Puncsik rozrósł się do rozmiarów plamki. Po kolejnym powiększeniu stało się jasne, że oglądają powierzchnię morza, a plamka jest jakimś żaglowcem. Tomasz domyślał się już, co to za żaglowiec. Istotnie. Wkrótce ujrzał znajomą sylwetkę. Perspektywa patrzenia zmieniała się szybko. Po krótkim oczekiwaniu zobaczył pływający jacht w pełnej krasie. Na burcie pysznił się dumny napis „Stellar Gale”. Można było nawet odczytać numer rejestracyjny na grocie i zobaczyć małe sylwetki wyskakujące na dek. W tym miejscu zapis się urwał. Kończył go nieruchomy obraz czerwono-zielonej bandery na rufie.

- Teraz rozumiecie? Zobaczył, że jesteście w zasięgu hi- perpoli. Wystarczyło mu wykonać przejście i zamustrować się na ten wasz statek.

- Zaraz, zaraz! Nie tak szybko! Przecież nie wyłowiliśmy żadnego rozbitka, a...

- Przesunięcie czasowe tego „skoku” - przerwał mu w pół zdania Rudniew - mogło wynosić nawet kilka lat!

I to wstecz! Przez lata przygotowywał się do waszego rejsu i powrotu tutaj. Gdyby zdążył zniszczyć ten film,

nigdy byśmy na to nie wpadli. On, czy też ona, jest jednym z was!

- To nawet nie wiadomo jak wygląda? Tym razem odpowiedział pułkownik.

- U nas stale przebywał w plastmasce. No, takim skafandrze, co maskuje sylwetkę. Musiał bądź musiała udawać Saszę Zjuganowa.

- Reasumując. Szukamy cudotwórcy podróżującego w czasie i przestrzeni. Nie wiemy, ile ma lat, jak wygląda. Nie wiadomo nawet czy to on, czy ona!

Przecież to może być każdy! Dlaczego mi o tym mówicie? Dlaczego to nie ja?!

- Prosta sprawa. Zbadaliśmy was podczas waszej choroby. Wiemy, że to nie wy. Więcej. Już teraz, na podstawie waszych zeznań, wiemy również, że to nie wasz kapitan. Znaie się już zbyt długo.

- A jeżeli on też jest podstawiony, jak ten wasz Zjuganow?

- Teraz sprawdzamy wszystkich. Żaden z was nie jest zamaskowany.

- To zbadajcie wszystkich, tak jak mnie.

- Te badania są długie i skomplikowane. Tylko obudzimy podejrzenia.

Tomasz zastanawiał się przez chwilę.

- Możemy chyba również wykluczyć bliźniaczki.

Jak mówicie, TAMTO było tylko w jednym egzemplarzu.

- Nie możemy - zaprotestował profesor. - Istnieje możliwość, że nasz uciekinier mógł spotkać w nowej

MASZTY NOCĄ NIE MUSKAJĄ...

rzeczywistości swojego odpowiednika, podobnie, jak wy - skinał głową Fizykowi - spotkaliście majora Fidyka, chociaż w tym przypadku, historia waszych rodziców potoczyła się nieco odmiennie. Ale niekoniecznie musiało przecież tak być. Nasz sabotażysta mógł nakłonić swoje alter ego do współpracy. Powinno przyjść mu to bez trudu. Albo jej.

W końcu nikt nie zna nas lepiej od nas samych.

- Przecież, poza Markiem Bistypem, reszta to gówniarze. Ledwo po maturze.

- To o niczym nie świadczy. Im kto młodszy, tym bardziej brawurowy. I oddany sprawie. Ale i popełnia więcej błędów. Dlatego w ogóle ze sobą rozmawiamy.

Inaczej dawno bylibyśmy więźniami, gdzieś w Arizonie, czy na australijskiej pustyni.

- To jak go znajdziemy?

Tomasz był autentycznie przerażony. Wszystko to było zbyt głupie, aby mogło być nieprawdziwe.

Ktokolwiek trudziłby się z wymyślaniem jakichś historyjek, stworzyłby z pewnością coś bardziej wiarygodnego. -I ja mam znaleźć jednego lub też jedną z nas, który czy też może która jest jednym albo jedną z nich. Kompletnie wariactwo.

- To wy musicie go zidentyfikować. Wiecie na temat waszych kolegów o wiele więcej od nas. Jeżeli się nie uda, to izolujemy ich wszystkich. Pamiętajcie, że wszyscy amerykańscy przestrzeńcy to fanatycy.

Religijni i rasowi. Nie wykazują natomiast zbyt dużej inteligencji. Nie jest im potrzebna. Ich umiejętności są czysto instynktowne. Nie zawsze nawet je kontrolują.

Jedyna wiedza, którą posiadają, pochodzi z ich protestanckiej Biblii. Wcale się zresztą z tym nie kryją.

Pułkownik coś tam dalej mówił, ale Fidyk już go nie słuchał. Z trudem wyjąkał:

- Hubert...

- Co mówicie? - Przerwał swoją przemowę Miszurin.

- Hubert Chylewski. - Spośród leżących paszportów wyciągnął ten należący do wyznawcy. - Jako jedyny był w niedzielę w kościele. Ela mówiła, że wychowywał się w domu dziecka. Wszystko pasuje...

- Nigdy jeszcze nie robiłem czegoś tak skomplikowanego. Jesteś pewien, że to się nadaje?

Wydawałoby się, że Hansjakob i Borys znają się od wieków. Przez ostatnie kilkanaście godzin zawzięcie pracowali, nie zważając nawet na zamieszanie związane z aresztowaniem Chylewskiego. Teraz miało nastąpić zwieńczenie ich działalności. Nawrocki właśnie powrócił z wyprawy na powierzchnię. W ręku mienił mu się wszystkimi kolorami tęczy błyszczący przedmiot niewielkiej wielkości. To właśnie był zwariowany na pozór pomysł Tomasza. Skoro komputery „Fali Losu” zostały zniszczone, to jedynym logicznym wyjściem z sytuacji było skorzystanie z komputerów ze „Stellar Gale”. Borys trzymał główny procesor Kujona. Napylone warstwa za warstwą monoizotopowe atomy węgla tworzyły wielki diament.

Gdzieś, w karnych sztykach kryształów, biegły ścieżki wykonane z niewielkich domieszek innych pierwiastków. Czysty diament jest izolatorem, ale odrobinę zanieczyszczony staje się półprzewodnikiem.

To właśnie wykorzystano w tej technologii.

- Widzicie - ciągnął dalej Genscher - sam algorytm jest bardzo prosty. Szczegółowych obliczeń dokonują systemy rozproszone wokół komory feronowej.

Problem tkwi w tym, że trzeba wykonywać masę prostych działań w krótkim czasie. Dlatego nie mogliśmy zastosować żadnej z naszych, pozostałych przy życiu, maszyn.

Śmiertelnie zmęczony Fidyk Drugi podniósł się z krzesła. Wszystkie stawy zachręciły złowieszczo. Od trzydziestu godzin był na nogach. Mimo to nie chciał jeszcze udawać się na spoczynek. Miał zamiar dopilnować do końca montażu urządzenia, a dopiero potem zdać dyżur Leclercowi. Pułkownik Wasilij Władymirowicz nie chciał, aby tak ważną placówkę objął któryś z żołnierzy. Zresztą było ich tylko dziesięciu, z czego połowa przebywała obecnie na „Stellar Gale”. Aresztowany Hubert został co prawda wprowadzony w stan anabiozy, ale Miszurin obawiał się, że wśród stuosobowej załogi „Fali Losu” może kryć się jeszcze jeden sabotażysta. Nawet major uważał to za lekką paranoję. Ewentualny zdrajca nie mógł raczej być drugim przestrzeńcem. Ci występowali zbyt rzadko. A skoro tak, MUSIAŁ być osobiście zainteresowany w naprawie kalkulatora. Inaczej również nie mógłby stąd się wydostać. Na razie major postanowił wypić jeszcze jedną kawę.

W głowie Tomasza przewalały się wspomnienia.

Łącznie z ostatnimi wyjaśnieniami Miszurina i Rudniewa. „już osiem godzin przed wypadkiem”, „ich umiejętności są instynktowne”, „nie zawsze nawet je kontrolują”. Wreszcie wszystkie elementy układanki wskoczyły na swoje miejsce. Jak mogli tak się pomylić!

Rozwiązanie leżało na wierzchu od samego początku, a oni byli ślepi! Pośpiesznie ruszył do drzwi. Może istnieje jeszcze możliwość ratunku dla Borysa i Hansajakoba! W pośpiechu popełnił zasadniczy błąd.

Zamiast tracić czas na zawiadomienie chociażby wartowników przy pomieszczeniu -hibernatorów,

gdzie spoczywał śpiący Hubert, ruszył biegiem w stronę maszynowni.

Borys ostrożnie wlotowywał ostatnie połączenia.

- No to hardware mamy chyba z głowy. Zanim przejdziemy do softwaru, chciałbym jednak chwilę się przespać.

Wokół wałały się poszczególne bloki Kujona. Jego demontaż był bardzo prosty. Ze złożeniem, jak to zwykle bywa, było dużo więcej problemów.

- My to nazywamy ciało i dusza - uśmiechnął się Genscher. - Ja też padam na nos. Powinno być nas tu trzech, ale jeden został zamordowany, a drugi tuż przed startem złapał wyrostek. Tak że zostałem sam.

Po aresztowaniu Huberta utrzymanie tajemnicy przestało być ważne i Borys został o wszystkim poinformowany. Genscher nie musiał więc się już kępować. Gdy usłyszeli kroki, nie zwrócili na nie uwagi. Obaj sądzili, że to major wraca z kawą. Dlatego kompletnie zbaranieli na dźwięk głosu:

- Nie ruszać się!

Mimo zmęczenia Fidyk nie mógł zasnąć. Przewracał się nerwowo z boku na bok. Przyczyną bezsenności,

obok starej radzieckiej tradycji przegrzewania-

pomieszczeń mieszkalnych, był również wewnętrzny niepokój. Jakaś natrętna myśl nie dawała mu spać.

Nieszczęśliwie nie potrafił jej zidentyfikować. Coś wyraźnie było nie w porządku. Ale co?! Tomasz miał wrażenie, że wszyscy coś przeoczyli. Zapominając o śnie, zaczął przeglądać w pamięci wszystkie zdarzenia,

począwszy od purpurowego zapłonu na Bałtyku, aż do chwili obecnej. Gdy nie doszedł do żadnych konstruktywnych wniosków, rozszerzył wspomnienia na okres od początku rejsu.

Wnętrze statku wydawało się kompletnie wyjałowione z jakiegokolwiek życia. Przyczyną takiego stanu rzeczy było polecenie Leny Juanowny, aby wszyscy nie zajęci pracą przesпали chociaż kilka godzin.

Wracający z bufetu po wymarłych korytarzach, z filiżanką kawy w dłoni, major miał wrażenie, że jakaś sylwetka schowała się przed nim za załomem korytarza.

Ale po co miałby ktoś to robić? Zbliżając się do podejrzanego miejsca doszedł do wniosku, że był to tylko wytwór skrajnie zmęczonego umysłu. Gdy ostrzegawcze sygnały zawyły w jego umyśle, było już za późno. Mimo wyczerpania miał jeszcze refleks, ale zgubiła go niesiona używka. Ułamek sekundy,

poświęcony na wypuszczenie z ręki kubka, wystarczył napastnikowi. Uderzony dwudziestomilimetrową rurą prosto w skroń, major KGB Tomasz Fidyk runął w ciemność. W ostatnim przeblýsku świadomości zrozumiał, że pośpi sobie jednak wcześniej i dłużej, niż zamierzał.

Pierwszą rzeczą nie na swoim miejscu były plamy z kawy na wykładzinie podłogowej. Kawałek dalej znalazł leżącego bezwładnie kuzyna. Nie wiedział, czy to trup, czy też jest tylko nieprzytomny. Spóźnił się.

Zza uchylonych drzwi docierał aż nadto znajomy głos:

- Ty tam pod ścianę. Kapitanie, proszę o procesor.

- Jest już zamontowany. - Dobiegła bełkotliwa odpowiedź Nawrockiego.

- To go kurwa wyjmij!

Nie zważając na ewentualne konsekwencje, Tomasz rzucił się do wejścia.

- Nie oddawaj mu procesora! - krzyknął,

przekraczając próg pomieszczenia.

Już raz celowano do niego z tego paskudnego rodzaju broni. Tylko w tamtym przypadku egzemplarze były znacznie większe. Ta tutaj wyglądała na kieszonkową. Zapewne napastnik odebrał ją nieprzytomnemu, czy też martwemu, majorowi. No i ta była trzymana nie przez zbirów z Specnazu, a przez przestrzeńca. Jakże Fidyk teraz żałował, że ten człowiek nie zginął w odmętach Bałtyku, kiedy była ku temu okazja. Życie byłoby znacznie prostsze. Przed Tomaszem stał teraz uzbrojony Piotr Sztubiński czy jak tam naprawdę się nazywał. O przeciwległą ścianę opierał się, blady jak trup, Hansjakob Genscher. Przy urządzeniu gmerał Borys. Ręce latały mu jak w ataku padaczki.

- Powoli. Tomek dołącz do niego. - Były kucharz ze „Stellar Gale” machnął wolną ręką w kierunku Genschera. - Nie wiem, co ci te komuchy o mnie opowiadały, ale chyba nie wierzysz w tę czerwoną propagandę? Muszę zniszczyć Kujona, a potem polecimy sobie do Ameryki. Tylko ja będę w stanie sterować tym złomem. Nie bójcie się. Jeżeli wykażecie rozsądek, nic wam się nie stanie. No, kapitanie, masz już ten brylant?

Nawrocki zdążył się tymczasem uspokoić. - Proszę o wybaczenie. To musi chwilę potrwać.

Lodowata wściekłość opanowała Fidyka.

- Zabiłeś mojego Brata!

- Co ty? Jaki to twój brat? Przecież to komuch,

czekista i przede wszystkim czarnuch. Nie ma czego żałować. Swoją drogą, jak wpadłeś na to, że ja to ja?

- Nie trzeba było ściągać przez hiperprzestrzeń krawatu z dziobu na śródkręcie. Nie należało wykorzystywać swoich zdolności tak głupio!

Wiedziałeś przecież, że w większej, niż trzy, ilości wymiarów, żaden węzeł nie może być naprawdę zawiązany. Wystarczyło ci tylko sięgnąć przez tunel i pociągnąć za krawat, aby znalazł się tam, gdzie chciałeś. Jeżeli jednak już chciałeś się w ten sposób ratować, należało przetransportować siebie i złapać się relingu. To by było bardziej wiarygodne.

- No może. Ale pole było jeszcze za słabe, A i tak stało się to dla ciebie jasne dopiero teraz. Za późno! No,

dawaj ten procesor!

Z wyraźnym ociąganiem Borys oddał terrorystyce błyszczący kryształ. Jak na potęgę obliczeniową, którą w sobie zawierał, był zadziwiająco malutki. Jak paznokieć. Sztubiński rzucił go na podłogę, a następnie z jadowitym uśmiechem nacisnął spust. Coś błysnęło.

W podłodze ziała wypalona dziura. Jeden z najdroższych, znajdujących się w masowej sprzedaży procesorów, zamienił się w chmurę dwutlenku węgla.

- No, załatwione - stwierdził usatysfakcjonowany Sztubiński. - Oczekuję teraz - mówiąc to, zwrócił się do odzyskującego normalną barwę Hansajakoba - że towarzysz Genscher przedstawi towarzysze komandor

moją propozycję nie do odrzucenia. Polecimy do Fort Irwin. Wszyscy jesteście moimi jeńcami. Zapewne zostaniecie wymienieni na naszych wywiadowców.

Będę w sterowni. I niech nikt nie odważy się tam wchodzić.

Na progu obejrzał się jeszcze raz.

- To wielki sukces. Zdobyć cały taki statek. „Judo!

Obchodź swoje święta, wypełniaj swoje śluby, gdyż niegodziwiec nie będzie cię już najeżdżał, jest on do szczytu zniszczony!". Na pewno niczego mi nie odmówią. Wstawię się za wami. Może nawet dostaniecie amerykańskie obywatelstwo? - roześmiał się. - To jest, jak się zdaje, marzenie każdego Polaka.

Wyszedł ostatecznie. Tomasz był zrozpaczony.

Wszystko przepadło!

- Co jest? - wystękał Borys. - Zwariował czy co?

Hansjakob był bardziej domyślny. Może dlatego, że wiedział o swoim świecie znacznie więcej od Nawrockiego.

- To był jednak on? - zapytał tylko. Tomasz ciężko pokiwał głową.

Sztubiński jednak nie oddalił się zbytnio. Drzwi otworzyły się znowu, ledwie kilkanaście sekund po zamknięciu. Stało w nich monstrum, czyli Charles Leclerc. Pod pachą trzymał nieprzytomnego przestępca. Coś powiedział.

- Na szczęście zdążyłem - przetłumaczył na niemiecki Genscher.

Nagle stało się tłoczno. Walcząc z zadyszka, wpadł do środka Miszurin. Za nim, tradycyjnie, dwóch bandziorów. Zaraz pojawili się Cortez i Rudniew.

Wszyscy, poza Specnazem, byli rozczochrani i niezbyt przytomni.

- Mieliśmy piekielne szczęście - wysapał pułkownik.

- Kapitana ruszyło sumienie i postanowił wcześniej zmienić majora Fidyka. Wyjątkowo szczęśna decyzja.

Do zamrażarki z nim! - Wskazał na Piotra. - Aha! I obudźcie tego drugiego, jak mu tam, Chylewskij.

- Nic nie możemy mu zrobić. - Tomasz był zdruzgotany. Nawet rewelacyjne odkrycie sumienia u dowódcy Specnazu nie poruszyło go. - Zniszczył Kujona. Bez niego się stąd nie ruszymy. Kurwa!

Kurwa! Kurwa!

- Ośmielam się, Tomaszu, zwrócić ci uwagę, że wyrażasz się niestosownie. - Borys powrócił do dawnej,

jaśniepańskiej pozy. - To niewybaczalne.

- O czym ty, kurwa, pieprzysz?! Leżymy horyzontalnie! - Fidyk nie zamierzał chwilowo dostosowywać się do poziomu Nawrockiego.

Równocześnie ze zdumieniem zauważył, że Hansjakob zaczyna się śmiać. I nie był to bynajmniej śmiech histeryczny.

- Chyba nie przypuszczacie, że pozwoliłbym temu barbarzyńcy zatriumfować.

- Coo?! - W dalszym ciągu nie rozumiał.

- Możesz o tym nie wiedzieć, ale nasza armatorka prowadzi dziennik.

Borys skupiał na sobie powszechną uwagę. Wszyscy zamarli w bezruchu.

- No i?!

- Chyba nie podejrzewasz jedyńaczki jednego z najbogatszych ludzi w Polsce, że będzie skrobać w jakimś kajeciku.

- Laptop..? - Tomasz wreszcie się domyślił. - Dałeś mu procesor od laptopa?!

Borys z triumfującą miną sięgnął do kieszeni. W jego rękę zabłysła kolorowa tęcza. Jej źródło było jednak wyraźnie większe niż to, zniszczone przez Amerykanina.

- W czasie, gdy tak przyjemnie gawędziliście o krawatach przesuwanych w hiperprzestrzeni, dokonałem małej zamiany. Elementarne.

System hydrepeksowy był wspaniały. Sto pięćdziesiąt metrów głębiny Fidyk przebył w minutę.

Inna sprawa, że po zakończonym nurkowaniu musiał zwymiotować płyn wypełniający mu płuca. Ale i tak się opłacało. Rozejrzał się jeszcze raz po tym świecie o kształcie hiperboloidy. Ponieważ nie widział go już od miesiąca, wrażenie było tylko minimalnie mniejsze niż za pierwszym razem. Żadne ze zdjęć, które zawzięcie cykały bliźniaczki, ani żaden, nakręcony przez Elę,

film, nie będą w stanie oddać tej wspaniałej monumentalności. Jaki obraz świata wyrobiją sobie jego ewentualni rozumni mieszkańcy? Na pewno będzie całkowicie różny od ludzkiego. Przeniósł wzrok na „Stellar Gale”. Pozbawienie go Kujona niosło ze sobą skutki porównywalne z zabiegiem resekcji mózgu u żywego człowieka. W ciągu minionych tygodni jacht został ogołocony ze wszystkiego, co mogłoby się przydać, a przede wszystkim ze sprzętu komputerowego. Obecnie sprawiał niezwykle smętne wrażenie. Ostatni pojemnik z wyposażeniem właśnie zanurzył się pod wodą. Za nim podążyli po kolei ludzie.

Wreszcie zostali na splądrowanym statku tylko we dwóch z Borysem. Po złożeniu pająka, zakręcili kabestanami. Białe żagle po kolei wpełzały na maszt.

Według planu „Fala Losu” miała wysadzić ich na tratwie, symulując morską katastrofę. Transport całego jachtu był, niestety niemożliwy. Dostali się tutaj dzięki przestrzeńcowi, a nie mogli oczywiście liczyć na jego pomoc w drodze powrotnej. Przez kadłub „Stellar Gale”

przebiegło drzenie. Najnowocześniejszy jacht, jaki kiedykolwiek pływał pod banderą Białorusi, ruszał w swój ostatni rejs. Pozbawiony systemu wygaszania turbulencji ruszał się jak mucha w smole. Cóż to jest piętnaście węzłów! Wskoczyli do wody. Tomasz myślał, że zaraz się rozplacze. Zdażył pokochać tę jednostkę całym sercem, chociaż pływał na niej tak krótko. Teraz wysyłał ją na zagładę. Aby nie przedłużać tych przykrych chwil, szybko opuścił się w dół.

O ile maszynownia przypominała poczekalnię u dentysty, to sterownia była samym gabinetem. Z

pięcioma jednak fotelami. Oprócz stałej obsady znajdowało się tu kilka innych osób. Powszechną uwagę zwracała zabandażowana postać na wózku.

- Kuzynie - odezwał się Tomasz - chyba lekko przesadzacie. Pęknięcie czaszki, wstrząs mózgu, a wy urządzacie sobie spacery.

- Cóż. Taki zawód. Za to jest wcześniejsza emerytura i dodatek za pracę w szkodliwych warunkach. Zresztą nie mogłem wytrzymać z tym fanatykiem. - Major leżał w szpitaliku razem, z dochodzącym do siebie po przymusowej anabiozie,

Hubertem.

- Bez przerwy próbuje mnie nawracać. Jeszcze jeden, któremu się wydaje, że ma monopol na prawdę absolutną i wszystko wyjaśniającą.

Znad monitorów podniósł głowę Rudniew.

- Doskonale! Po prostu doskonale! Wasz Kujon jest dużo lepszy niż cały nasz dotychczasowy sprzęt.

Szkoda tylko, że duszę toście pisali na kolanie. Ale działa. To najważniejsze - zastrzegł szybko. - Zaczynam wierzyć, że się z tego wykaraskamy.

- Trudno stworzyć coś lepszego, kiedy nie ma się wielkiego pojęcia, co ten program ma robić. I do tego w tak krótkim czasie - odgryzł się zgryźliwie Nawrocki.

W trakcie dyskusji obraz na monitorach zmienił się.

Nie leżeli już na dnie morza. Coraz szybciej podnosili się do góry. Po kilku sekundach wyskoczyli na powierzchnię morza. Akcelerometry miały cyfry w swoich okienkach. Dwa, trzy, dziesięć g! Niesamowite!

Wcale nie odczuwali tego ogromnego przyśpieszenia.

Napęd grawitacyjny to niezła rzecz. Krajobraz wokół zmieniał się w niesamowitym tempie. Wreszcie, stało się!

Wklęsły początkowo horyzont przeszedł nagle w wypukły. Na mgnienie oka widzieli całą planetę w płaskim rzucie, niby jakąś olbrzymią mapę w skali jeden do jednego.

- Czy musimy tak daleko odlatywać? - nieśmiało zapytał Borys. Glob zmalął już do wielkości Księżyca w pełni.

- Teoretycznie nie, ale obliczenia znacznie się upraszczają, kiedy w pobliżu nie ma dużych mas.

- Uruchomić napęd tunelowy! - przerwała rozmowę Cortgz. Hansjakob Genscher pochylił się nad panelem Kujona.

Gdzieś w trzewiach pojazdu fotony pędziły ze swoją stałą prędkością. Prędkością światła. Generator feronowy robił właściwie tylko jedno. Obracał w ukrytych wymiarach pole feronowe czy, jakby je nazwali fizycy w świecie Tomasza, pole Higgsa. Pole to przypominało szeregi stojących fal. Do tej pory fotony poruszały się wzdłuż ich dolin. Ale teraz, po obrocie, zderzały się z grzbietami, napotykając potężny opór. A wtedy nie mogły już pozostać fotonami. Tam gdzie były miliardy fotonów, pojawiły się raptem miliardy bozonów W i Z. A te już miały masę. Nie mogły więc poruszać się z prędkością światła.

Gwałtownie zwalniając, wydzielały niewyobrażalne ilości energii. Przestrzeń zafalowała, wygięła się,

wreszcie pękła. Jeden ze zwiniętych wymiarów otworzył się. „Fala Losu” zniknęła z niebios jak kamień wrzucony w wodę. Równocześnie na innym niebie rozbłysła nowa gwiazda. „Fala Losu” wychyłała z nicości w miejscu swojego przeznaczenia.

Po pięciu tygodniach spędzonych w miarę stabilnych warunkach nieregularne ruchy pneumatycznej tratwy ratunkowej wywoływały straszliwe nudności. Zapomnieli już, jak bardzo wzburzony był Bałyk, kiedy go opuszczali. Teraz ponosili tego konsekwencje. W nocy jeszcze

większe niż zazwyczaj. Jak zwykle, nie dotyczyło to Nawrockiego. Właśnie, wśród chóru powszechnych protestów, kasował zapisy w aparatach fotograficznych i kamerze.

- A co będzie, jak zechcą je obejrzeć? - poparł kapitana Fidyk. - Do końca życia nie wytłumaczymy się z tego. Lepiej, niech wszyscy sobie powtórzą legendę. I nie konfabulować żadnych szczegółów! - zarządził. -

Nie wiem, nie widziałem, nie pamiętam, byłem w szoku. - Przemowę przerwał mu nagły atak choroby morskiej.

W dokarmianiu bałtyckich śledzi dzielnie sekundował mu Hubert. Tomasz miał nadzieję, że w tych egipskich ciemnościach oszczędzona mu zostanie przynajmniej przymusowa lektura Obojga Testamentów. Niestety, okazało się, że Chylewski odpowiednie wersy przechowuje w pamięci.

- „Pan skałą i twierdzą moją, i wybawieniem moim,
Bóg mój opoką moją, na której polegam”.

Skasowawszy nieziemskie obrazy, Borys wyrzucił aparaty i kamerę do morza. Na pełne wyrzutu spojrzenie Eli wyjaśnił:

- Nie chcecie chyba się tłumaczyć, że to przede wszystkim ratowaliście z katastrofy, a jeżeli nawet, to dlaczego skasowaliście wszystkie zapisy, co? Czy wszyscy przestawili już zegarki z powrotem na szesnasty października?

Cortez wysadziła ich zgodnie z umową. Teraz w przekonywujący sposób mieli zasymulować wypadek.

Problemem była tylko sprawa zaginięcia Sztubińskiego.

Ale i z tym można było sobie poradzić. Odpowiednie władze prędzej uwierzą w meteoryt druzgoczący nagle ten cud jachtingu, jak zamierzali zełgać, niż w prawdę.

Aby łatwiej mogły w to uwierzyć, komandor Lena Juanowna zasymulowała nawet swoim statkiem odpowiednie efekty optyczne i akustyczne.

Twarz Renaty, podobnie jak jej identycznej kopii,
miała w chybotliwym świetle latarki zdrowy,
trawiastozielony kolor. Jej właścicielka znękany głosem wyksztusiła:

- Może wreszcie wezwiemy pomoc? Chyba już wyglądamy na wystarczająco wyczerpanych?

Po chwili wahania Nawrocki skinął głową. Marek,
który tylko na to czekał, uruchomił nadajnik awaryjny.

Teraz pozostało tylko wypatrywanie śmigłowców.

Przybyły rychło.

